NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 11 grudnia 1909. Nr. 50.

Śmierć przy ołtarzu.

(Treść na str. 2)



Śmierć przy ołtarzu.

(Do illustracyi tytułowej).

Niezwykle tragiczny wypadek zaszedł przed kilku dniami w miasteczku Sokalu, tem tragiczniejszy, że zaszedł w tamtejszym kościele parafialnym, w czasie obrzędu ślubnego i dotknął ogólnie szanowanego i cenionego zakonnika, O. Jana Duklana Jaworskiego.

Uproszony przez parę nowożeńców o dopełnienie ceremonii kościelnej w czasie obrzędu ich zaślubin, ubrał się O. Jaworski w szaty liturgiczne i kiedy młoda para stanęła u ołtarza wraz z gronem gości weselnych, rozpoczął przepisane modły. Zaledwie jednak wymówił kilka pierwszych słów, uczuł się słabym i padł w tej chwili bez przytomności na stopnie ołtarza. Powstało ogromne zamieszanie, rzucono się na ratunek kapłanowi, niestety jednak bez skutku, gdyż po paru minutach O. Jaworski wyzionął ducha.

Tragiczny ten wypadek wywołał ogólne współczucie i żal.



Otwarcie nowego dworca kolejowego w Czerniowcach: Naczelnik kierownictwa ruchu w Czerniowcach, dr. Tschiggfrey.

Otwarcie nowego dworca kolejowego w Czerniowcach.

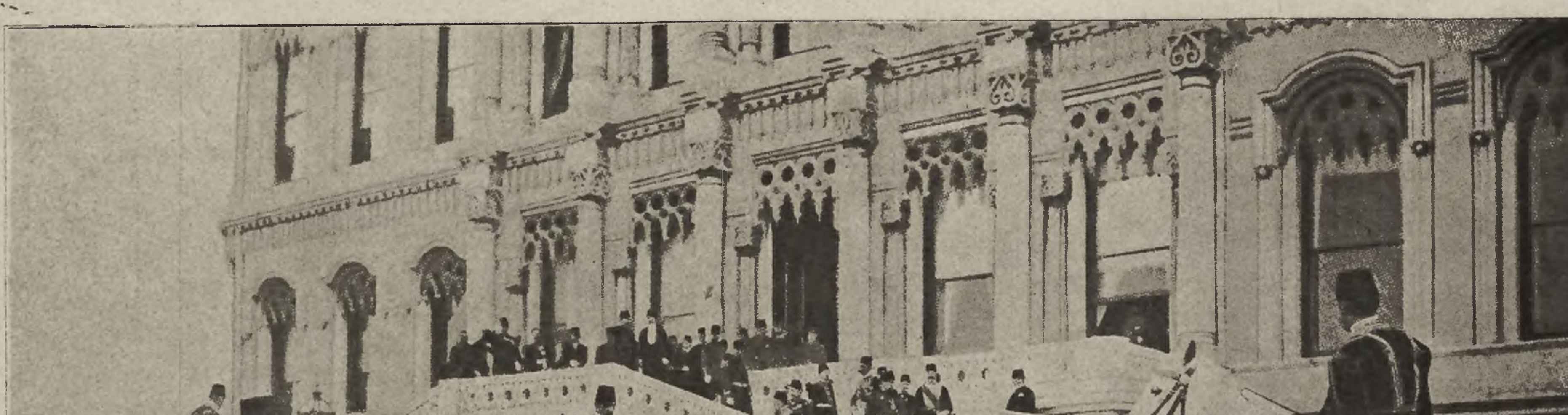
W dniu 30 listopada b. r. o godzinie 12-tej w południe oddano po trzyletniej robocie do użytku publicznego nowy dworzec kolejowy w Czerniowcach.

Nie była to wcale łatwa praca, przeprowadzić budowę dworca bez przerwy w ruchu kolejowym. Nowy budynek kolejowy składa się z wielkiego pawilonu środkowego, w którym umieszczony jest westibul z kasami osobowymi oraz z piętrowych skrzydeł, mieszczących w sobie poczekalnie i restauracye, a zakończonych dwupiętrowymi pawilonami, z których jeden przeznaczono na biura poczty, drugi zaś dla biur kolejowych. Nad westibulem wznosi się wspaniała kopuła.



Otwarcie nowego dworca kolejowego w Czerniowcach: Nowy gmach dworca kolejowego.

Budowę nowego dworca rozpoczęto za czasów urzędowania naczelnika kierownictwa ruchu dra Hnideya, powołanego z początkiem roku 1908 do ministerstwa kolejowego. Po ustąpieniu tegoż zajął



Nowy parlament turecki: Sułtan Mahomet V, opuszczający gmach parlamentu tureckiego.

jego stanowisko dr. Herman Tschiggfrey, zastępca dyrektora kolei w Lincu.

Dr. Tschiggfrey urodził się w r. 1860. W roku 1882 brał jako porucznik czynny udział w kampanii podczas powstania w Hercogowinie i Kriwoście. Wstąpił do służby kolejowej w r. 1884; przez szereg lat był naczelnikiem dla spraw personalnych w Insbrucku. Przy końcu r. 1907 został zamianowany zastępcą dyrektora kolei w Lincu, a w marcu r. 1908 powołano go na stanowisko naczelnika kierownictwa ruchu w Czerniowcach. Wybór dra Tschiggfreya na to stanowisko ze strony ministerstwa kolejowego musimy uważać za bardzo szczęśliwy.



Sport zimowy w Zakopanem: Nowoobrany zarząd zakopiańskiego oddziału narciarzy. 1. prezes M. Zaruski; 2. wiceprezes Barabasz; 3. sekretarz Kaleński; 4. prof. Skoczylas i 5. prof. Skotnica, członkowie zarządu.

Zaraz na początku swego urzędowania dał się poznać jako energiczny administrator i organizator.

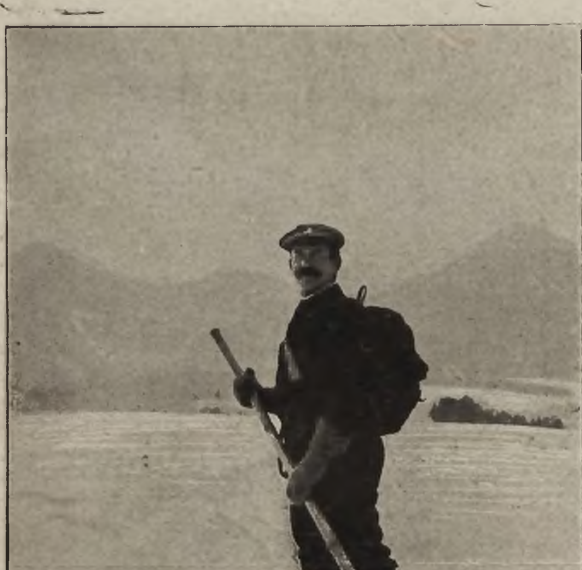
W zakresie swych obowiązków czekały dra Tschiggfreya trudne zadania, które musiały być rozwiązane, jeżeli instytucya kolei państwowych miała stanąć na poziomie kultury nowoczesnej, zawodowej i obywatelskiej.

Za jego to urzędowania liczne kary, protekcye, podejrzenia na podstawie często błahych denuncyacyi ustały. Swemi zdolnościami, swemi zaletami umysłu i serca, niezmordowaną pracowitością wyrobił sobie opinię jednego z najwybitniejszych znawców kolejnictwa.

Dr. Tschiggfrey odrazu poznał potrzeby kraju. Bukowina zyskała w nim życzliwego przedstawiciela władzy, od której w niemałym stopniu zależy rozwój handlowych i ekonomicznych stosunków.

Podczas krótkiego jego pobytu na Bukowinie otwarto 3 nowe linie kolejowe: Weremzanka-Okna, Czudin-Koszczuja, Mezebrody-Łopuszna, a w najbliższym czasie zostaną oddane nowe 3 linie Sereth-Synoutz, Brodina Saletin i Wyżnice Kuty do publicznego użytku.

Z powodu swych zalet cieszy się niezwykłą sympatyą w sferach obywatelskich całego kraju. Wśród podwładnych, a szczególnie w niższej kategoryi służby kolejowej, zjednał sobie taką miłość i szacunek, że nazwisko jego na długie lata pozostanie w pamięci i w sercach wszystkich funkcyonaryuszów kolejowych. *Stb.*



Sport zimowy w Zakopanem: Marjusz Zaruski, prezes oddziału narciarzy Tow. Tatrzańskiego.

Zgon potentata kolejowego.

W ubiegłym tygodniu zmarł w 70 roku życia Ryszard Jeiteles, człowiek, którego nazwisko łączy się nierozerwalnie z historyą kolejnictwa austryackiego w ostatnich paru dziesiątkach lat.

Urodzony 1839 r. w Pradze, poświęcił się naprzód służbie w inżynieryi wojskowej i jako kapitan inżynieryi fortyfikował Kraków. Nie długo potem opuścił szeregi armii, a przeszedł do państwowej służby kolejowej i pracował przez szereg lat jako starszy inspektor departamentu kontroli gospodarki finansowej kolei prywatnych, przez państwo gwarantowanych. W r. 1884 przeniósł się do kolei północnej ces. Ferdynanda i tam bronił energicznie praw akcyonaryuszów wobec rządu. Był też zaciekłym przeciwnikiem upaństwowienia tej kolei. Prezesem rady zawiadowczej kolei Ferdynanda był do końca życia. Był też członkiem wielu potężnych instytucyi finansowych, a w uznaniu swych zasług został powołany do Izby panów.

Tknięty paraliżem przed paru tygodniami, zakończył życie w Wiedniu.



Sport zimowy w Zakopanem: Nieszkodliwa katastrofa saneczkowa. Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Maszt składany.

Szybko i w każdem miejscu wznieść się ponad ziemię, oto cel, ważny na niejednem polu przedsiębiorczości ludzkiej. Tak przy zakładaniu drutów telegraficznych, jak i przy telegrafie bez drutu, przy zakładaniu oświetlenia na znacznej wysokości, ileż to czasu zabiera wystawienie słupów telegraficznych, rusztowań wysokich, odpowiadających potrzebom telegrafu bez drutów!



Sport zimowy w Zakopanem: Por. Kazimierz Bobkowski, kierownik kursów narciarskich w Zakopanem.

Pomysłowy wynalazek Aleksandra Siewerta, który skonstruował maszt składany, przedstawiony na naszej illustracyi, ułatwi w przyszłości tę tak żmudną pracę i odda szczególnie sferom wojskowym, którym zależy na szybkiem połączeniu telegraficznem poszczególnych miejsc ze sobą, nieocenione usługi.

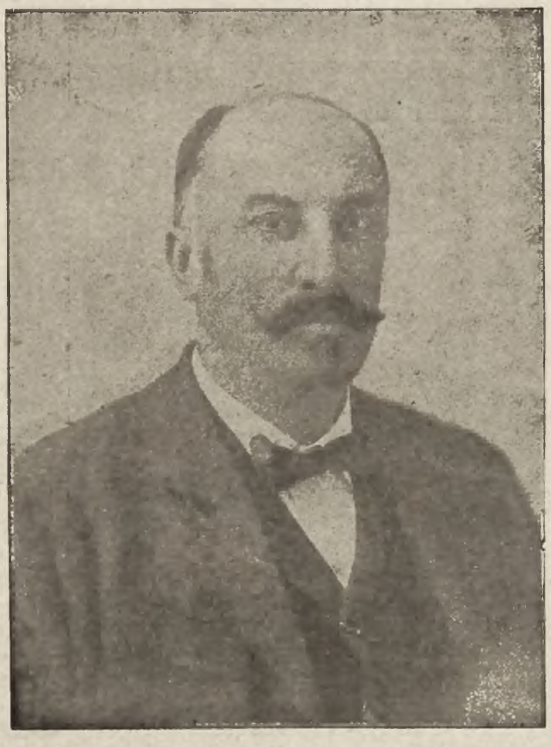
Maszt Siewerta, zbudowany ze stali, ma tę zaletę, że da się przedewszystkiem przenosić z miejsca na miejsce. Cały przyrząd podobny jest zewnętrznie do kuchni polowej lub armaty do ostrzeliwania balonów. Ze skrzyni, za pomocą korby, można w trzech minutach wyciągnąć w górę maszt do wysokości 25 metrów i również szybko go złożyć.

Sfery wojskowe zainteresowały się tym wynalazkiem, gdyż maszt składany Siewerta nadaje się prócz wyżej wymienionych celów, także do wygodnej obserwacyi ruchów nieprzyjacielskich.

Nauczycielka miłości.

Pamiętne są jeszcze dotąd głośne skandale, jakich widownią były Niemcy z okazyi wykrycia zwy-

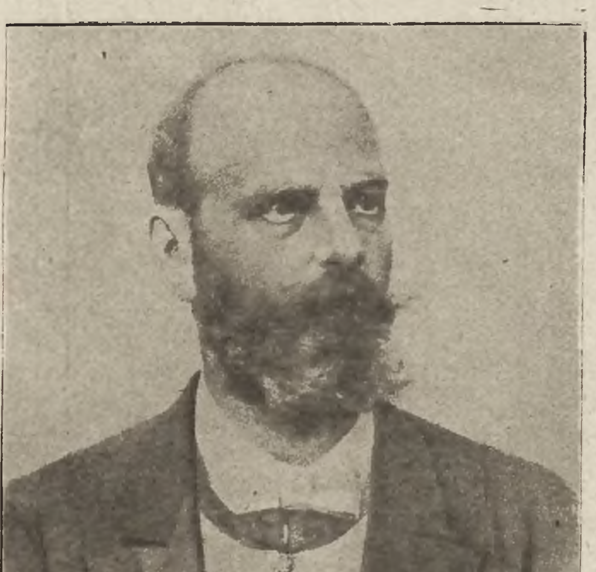
rodniałych rozrywek, uprawianych w kołach oficerskich i cywilnych „wyższego“ świata niemieckiego. Skandale były o tyle większe, że wplątaną w nie była osoba cesarza niemieckiego, Wilhelma II. Uczciwe i moralne sfery ludności oburzały się też szczerze zwyrodnieniem pewnych kół towarzyskich w Niemczech, a z powodu uczestnictwa w tych historyach cesarza Wilhelma obawiały się obniżenia powagi monarchicznej.



Przesilenie gabinetowe we Włoszech: Prezydent gabinetu Giovani Giolitti.

Obecnie łączą imię cesarza Wilhelma z innym skandalem, również erotycznej natury, gdzie jednak bohaterką jest wyjątkowo niewiasta, i to prawdziwa Paryżanka. Mianowicie podczas pobytu cesarza Wilhelma na zamku hr. Henkelsa, bawiła tam słynna aktorka paryska, *madame* Granier. Osoba nie pierwszej młodości, ale piękna i rafinowana kokietka. Ona to miała w obecności cesarza, i wobec licznego grona gości hr. Henkelsa, bardzo pouczający i bardzo swobodny wykład o miłości. Nie wiadomo tylko, czy z demonstracyami. W wykładzie swym wychwalała ona zalety i przymioty Paryżanek, objaśniała ich sztukę uwodzenia mężczyzn, zapewniając przytem o ich niezawodnej dyskrecyi.

Wykładu tego słuchał cesarz Wilhelm z wielkiem zainteresowaniem. Były to zapewne dla niego rzeczy nowe. Od hr. Eulenburga i jego towarzyszów czegoś



Zgon potentata kolejowego: Bł. p. Ryszard Jeiteles.

podobnego nigdy nie słyszał. Zapewniony zaś o dyskrecyi Paryżanek, zabawiał się „dostojny“ gość dość długo z uprzejmą i doświadczoną aktorką, nie przypuszczając zapewne, że ta niewinna zabawka ściągnie na jego głowę sporo nieprzyjemności.

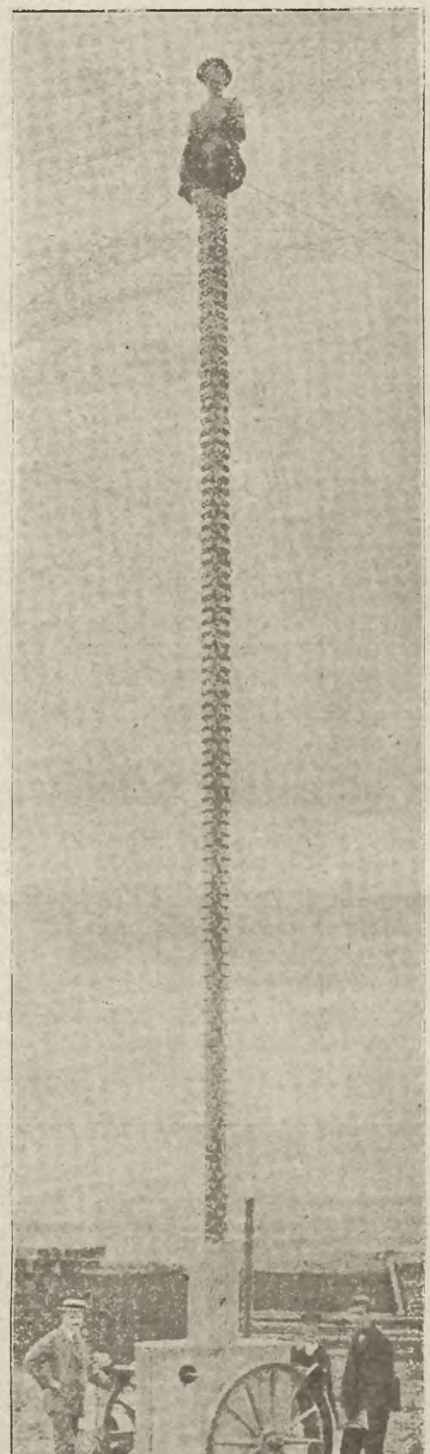
Madame Granier niewątpliwie była dyskretną. Ale inni, obecni przy tem, rozgłosili całą historyę, z tego powodu pojawiły się w kilku pismach niemieckich bardzo ostre artykuły przeciw cesarzowi, zarzucające mu, że „zabawia się“ z aktorkami, narażając na szwank ideę monarchiczną.

Zabawne wyścigi.

(Do illustracyi na stronie 10).

Niezwykłą atrakcyą dla całej Kopenhagi były wyścigi kołowe, urządzone w tamtejszym ogrodzie zoologicznym, a przeznaczone dla najmniejszych cyklistów.

Duńczycy umieją dbać o rozwój fizyczny swych dzieci i rozumieją, jak wielkie znaczenie dla fizycznego rozwoju młodych pokoleń mają wszelkiego rodzaju konkursy sportowe.



Maszt składany: 25 metrowy maszt składany, skonstruowany przez Aleksandra Siewerta.

Zawody najmłodszych cyklistów duńskich, stały się atrakcyą dla całej stolicy wśród „milusińskich“, którzy ma się rozumieć oblegli tor; sensacyę budził szympans „Grethe“, chowany w ogrodzie zoologicznym, który również stanął u startu, jako jeden ze zgłoszonych do wyścigu.

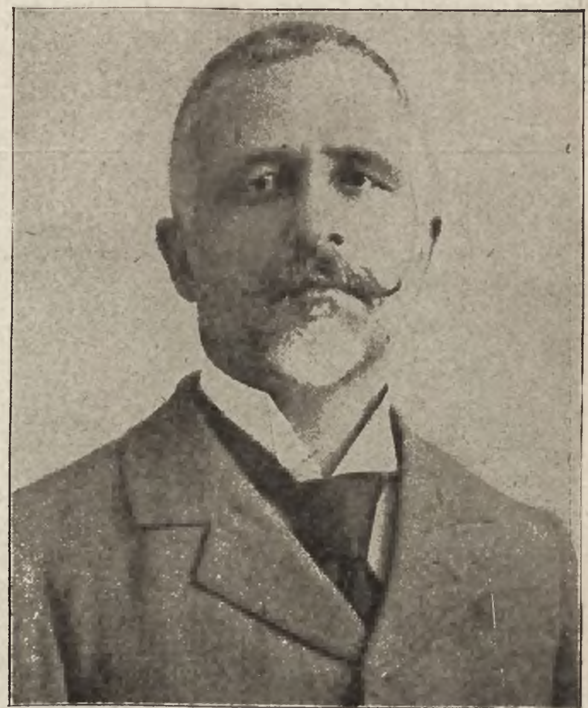
Rycina nasza przedstawia właśnie start doskonale wyszkolonego w jeździe na rowerze szympansa, wraz z dwoma innymi współzawodnikami. Silniejszemu fizycznie szympansowi, nie trudno przyszło odnieść zwycięstwo nad innymi współzawodnikami.

Dobry żołądek.

(Do illustracyi na stronie 10).

W pogoni za kawałkiem codziennego chleba, chwytają się ludzie rozmaitych przedsiębiorstw i mówiąc naszym galicyjskim językiem, pokazują takie sztuki, o jakich się nawet filozofom nie śniło.

Jednym z takich ptaków niebieskich, które wedle słów Pisma św., ani orzą, ani sieją, a przecież żyją sobie wygodnie, był pan Wacław Lusk, rodem z Draholeszy koło Wittingau, który produkował się na jarmarkach i odpustach, jako połykacz scyzoryków. Każdy żołądek znosi do pewnego stopnia nawet najbardziej niestrawne potrawy, nic też dziwnego, że pan *Wencel* dłuższy czas wprawiał w podziw jarmaczne rzesze. Ale, jak powiada przysłowie:



Przesilenie gabinetowe we Włoszech: Minister spraw zagranicznych Tittoni.

„do czasu wodę dzban nosi“. I żołądkowi pana Luska sprzykrzyły się takie ciężkie rzeczy. Czując, że go coś „gniecie na dołku“, zgłosił się do szpitala w Saaz, gdzie prymaryusz dr. Bergmann orzekł, iż operacya jest niezbędna, gdyż inaczej pacyent nie pozbędzie się przedmiotów, które obciążają mu jego tak strawny żołądek. „Artysta“ zgodził się na to i w ubiegłym tygodniu przedsięwzięto operacyę, która wydała nadspodziewany rezultat. W żołądku pana Wacława Luska znaleziono pięć scyzoryków. Największy z nich liczył dwanaście centimetrów długości, a trzy centymetry na szerokość! Operacya się udała, pacyent wyjątkowo żyje, gdyż po kilkunastodniowej kuracyi w dobrym zdrowiu i przy najlepszym humorze opuścił szpital, aby poszukać sobie jakiegoś innego zajęcia, gdyż, jak sam twierdzi, jego, dotąd tak dobry i strawny żołądek, jakoś się popsuł!



Echa zamachu truciclelskiego: Anna Myrtley, szansonistka. (Fot. M. Münz. Lwów).

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X 323.

15 (Dokończenie).

Rozmowa nasza była krótka. Wysłuchał z roztargnieniem mego żądania i bez najmniejszego oporu naznaczył za trzy tygodnie dzień, w którym ma droga Niete zostanie małżonką Maksa Trelama. Widocznie planowanie zabójstwa X 323 zbyt go przejmowało, by mógł rozmawiać spokojnie o tak drobnej dla niego rzeczy, jak ślub córki.

Wśród innych okoliczności surowiej osądziłbym jego obojętność, pałałem jednak taką gorączką działania, iż poprostu wdzięczny mu byłem, że zaoszczędził mi nudów długiej z sobą rozmowy. Opuściłem go, prosząc, by zawiadomił Nietę, iż rana na głowie dolega mi trochę i że wskutek tego chcę położyć się wcześniej. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć:

— Leż pan, jak długo chcesz. Jest mi to zupełnie obojętne.

Przyrzekł mi jednak powtórzyć me słowa córce a sam wymówił się pilnemi zajęciami i udał się do swego gabinetu. Śpieszył się usunąć odemnie, bał się, bym nie wyczytał czego na jego twarzy.

Schodziłem po schodach, by udać się na poszukiwanie X 323, gdy w westibulu pałacu spotkałem się z Nietą. Nie mogła znieść dłużej nieświadomości i wróciła prędzej razem z Concepcion, by dowiedzieć się o wyniku mej rozmowy z ojcem. Odpowiedź ma uradowała ją, choć zaniepokoiła się za raz, gdym powiedział jej, że czuję silny ból głowy. Biedna Niete!... Przypuszczenie kłamstwa nie mogło się nawet zrodzić w niej. Sama mi poradziła, bym wrócił do domu i nie wychodził wieczorem. Do teatru pójdzie razem z Concepcion i z ojcem.

Chciałem już się odezwać:

— Nie licz na niego.

Powstrzymałem się jednak w porę. Skróciłem rozmowę i oddaliłem się, mówiąc:

— Do jutra.

Och, drogie oczy niebieskie, dlaczego nie patrzyłem na was dłużej? Dlaczego nie przepoiłem swej duszy waszymi błyskami turkusowymi?... Próżny żal!

Przebiegłem kilka razy przez Salon del Prado, chodziłem koło domku na ulicy Zorilla, lecz nawet śladu nie znalazłem po X 323. Spodziewałem się zresztą tego. Przez chwilę myślałem udać się do markizy Almaceda... Porzuciłem ten projekt... Czyż wiem, jakie w istocie łączą ją węzły z X 323?... Czy zna go lepiej odemnie? W podobnych sprawach nigdy niema za wiele ostrożności. Wyznać przytem muszę, że korespondentowi *Timesa* przyjemnie było odegrać pewną rolę w tak doniosłym momencie dziejowym. Co za sława dla mnie, jeżeli ocalę X 323 i zabezpieczę pokój Europy. *Times* uwieńczy mnie złotą koroną, redaktor bowiem jest szczodry dla tych, którzy dobrze służą dziennikowi. Im więcej zdobędę złota, tem roskoszniejsze stworzę gniazdo dla mej ukochanej. Ach! Jakiż szalony byłem, marząc o życiu, gdy ono miało zagasnąć. Wszyscy my zużywamy się na projekta i marzenia, zapominając, że przyszłość nie do nas należy i że los rozporządza nami bez nas.

Wróciłem do hotelu, zrobiłem zapas z kilku sandwiczów, wziąłem butelkę wina i gdy noc zapadła, ruszyłem poprzez kręte ulice Madrytu w stronę oberży Kamoensa ku Studni Maurytańskiej. Rezerwoar funkcyonował znakomicie... przed zejściem zakręciłem go starannie, by woda podniosła się do swego zwykłego poziomu. Kto po mnie tu się zjawi, ani przypuszczać nie będzie, że reprezentant *Timesa* wyprzedził go.

Po przejściu korytarza podniosłem ruchomą płytę, którą zaraz, jak tylko dostałem się wyżej, założyłem z powrotem. W podziemiu wsunąłem się po omacku za czaprak na konia i siedząc na ziemi zacząłem posilać się sandwiczami i zakrapiać je winem. Gdy się jest na posterunku, roztropność nakazuje pokrzepić swe siły.

Musiałem długo czekać... byłem jednak na to przygotowany. Czaprak, który służył mi za ukrycie, pokryty był grubą derką z haftowanego aksamitu... Rozłożyłem ją na ziemi, nie zważając ani na jej wartość historyczną, ani na wysoką godność osobistości, jaka jej kiedykolwiek używała i najspokojniej położyłem się na niej. Czułem się doskonale i oddałem się marzeniom o mej narzeczonej, zapominając narazie o całym świecie.

Niete ani na chwilę nie zwątpiła o rzeczywistości mego cierpienia, które nie pozwoliło mi spędzić wieczoru w teatrze, na moje nieszczęście miała jednak przy sobie nieodłączną Concepcion. Czarne oczy tej subretki madryckiej miały dar wypatrywania rzeczy najstaranniej ukrytych. Dzielna ta dziewczyna, obdarzona średnią inteligencyą, stawała się nadzwyczaj wyrafinowaną i subtelną, gdy w grę wchodziło uczucie. Zauważyła też ona moje zakłopotanie, mimo iż starałem się przybrać na twarz jak najobojętniejszą maskę.

Zaledwie oddaliłem się, szepnęła tak głośno, iż pani jej usłyszała tę uwagę.

— Także jakiś ból głowy, który nie chce zaprowadzić nas do teatru.

Wywołało to natychmiast zapytanie:

— Co chcesz przez to powiedzieć, Concepcion?

— Och! Że senor Maks ma co innego w głowie, niż ból... Może nie w wielkiej zgodzie rozszedł się z panem hrabią?

— Tak myślisz?...

— Ja, senorito, nic nie myślę... Gdybym jednak była senoritą zamiast służącą, poszłabym zaraz do ojca i przekonała się...

Gdy się kocha, najmniejszy niepokój przybiera ogromne rozmiary. Niczego więcej nie potrzeba było, by zakłócić pogodę myśli mej najdroższej. Serce jej zabiło silniej i szybko pobiegła do gabinetu ojca, dokąd wpadła jak strzała. Zaskoczyła też hrabiego, jak stojąc na krześle, zdejmował ze ściany z pośród rozwieszonej zbroi rodzaj maczugi, przywiezionej przez siebie z podróży po Południowej Ameryce; była to żelazna kula kolczasta, przyczepiona do małej rączki zapomocą krótkiego stalowego łańcuszka. Na niespodziany widok córki krzyknął i instynktownie wsunął broń do kieszeni, zeskakując na ziemię.

Niete dojrzała jednak wszystko. Narazie sądziła, że ojciec jest tylko niezadowolony, iż przyszła mu przeszkadzać. W pośpiechu zapomniała przed wejściem zapukać do drzwi. Szybkiemi zdaniami wytłómaczyła, iż z powodu niedyspozycyi muszę wrócić do hotelu i przeto nie mogę towarzyszyć jej do teatru.

— Właśnie przyszłam prosić, by ojciec poszedł ze mną do loży — i z pewnem wzruszeniem zakończyła — jak to ojciec zawsze czynił przedtem.

Odpowiedź hrabiego wzbudziła w niej niepokój, na chwilę zapomniany.

— Byłoby mi to bardzo przyjemne, Nieto, lecz mam być na obiedzie razem z panem Koeleritzem...

— Mimo iż był ojciec u niego na śniadaniu?

— Tak. Z powodu ważnych spraw muszę się z nim znowu zobaczyć.

I z pewną ironią w głosie zakończył:

— Żałuję bardzo, że muszę tak cię zaniedbywać. Twój sposób patrzenia na rzeczy nie pozwala mi dać ci jaśniejszych wyjaśnień... To tylko mogę oznajmić ci, iż zajęcia moje zmierzają już ku końcowi... potem będę mógł poświęcać dla ciebie więcej czasu przez tych kilka dni, jakie spędzisz jeszcze pod moim dachem.

Podszedł ku niej, uścisnął ją i pocałował w czoło. Może przyszło mu wtedy na myśl, że każda zasadzka nosi w sobie podwójne niebezpieczeństwo. Człowiek najobojętniejszy nawet na nie, może pomyśleć, że nie wróci już z walki, na którą się wybiera.

Przejęty przyszłem starciem, nie zauważył hrabia, że córka jego drżała. Niespokojna myśl tkwiła w jej umyśle. Ten dziwny zbieg okoliczności, że narzeczony i ojciec unikają tego miłego obowiązku towarzyszenia jej do teatru, obawa, zrodzona przez uwagę Concepcion, wszystko to napełniało ją lękiem.

— Czy ojciec i Maks mają się spotkać w jakiem obranem miejscu? — powstało w niej takie podejrzenie.

Odpowiedziała sobie ze stanowczością bojaźliwych dusz:

— Tak, tak... Maks ukrywał coś przedemną... Oddalił się pośpiesznie... nie odwracając się ani razu, choć to zawsze czyni.

Wzruszenie przywodziło jej na pamięć najdrobniejsze szczegóły.

— I ojciec... Jaką miał dziwną minę... Był podniecony...

I nagle z olśniewającą jasnością przejrzała groźne zamiary hrabiego, choć pomyliła się co do osoby, przeciw której one zmierzały.

— Może on ma spotkać się z Maksem... Poco zabierał tę podstępną broń?

Od tej chwili nie mogła już zawładnąć swemi myślami, z których w głowie jej powstał jeden huragan.

Concepcion poznała odrazu niepokój swej pani i podzielała go najzupełniej. Dla niej przypuszczenia zamieniały się w pewność. Niete wzdragała się przed myślą, że jej ojciec zamierza popełnić zabójstwo. Służąca ani na chwilę nie wahała się twierdzić tego, wzywając na świadectwo Dziewicę z Alkali i św. Jakóba z Kompostelli. Zawsze podejrzewała, że hrabia zamyśla jakieś szelmostwo. Przepraszała senoritę za użycie tego słowa, nieprzyjętego w dobranem towarzystwie, ale senorita winna być pewną, że wybrałaby inne, jeżeliby miała również dobitne dla wyrażenia swej myśli.

Niete słuchała jej mało, cała pogrążona w zadumie o mnie. Lecz Concepcion z najzupełniejszą nieświadomością pogarszała położenie z minuty na minutę. Serce jej było wierne, lecz głowa szalona. Temperament unosił ją. Teraz była już najkompletniej przekonana, że za grosz nawet niema prawdy w tem, co mówiłem ja i hrabia. Pan Holsbein nie poszedł na obiad do pana Koeleritza, a ja nie miałem bólu głowy, choć mogłem go dostać, jeżeliby moja czaszka spotkała się z kolczastą kulą, którą hrabia schował do kieszeni. Przerażała poprostu swą młodą panią, która w końcu uznała za pożyteczne, konieczne, nieodzowne, by służąca puściła się w ślad za hrabią, gdy on opuści Casa Avreda.

Concepcion nie było przez pół godziny. Wiadomości, jakie przyniosła, do szczytu przestrachu doprowadziły młodą pannę.

— Ach! Święta Madonna natchnęła mnie! — zaczęła w ten sposób swe opowiadanie.

Jeżeliby wierzyć Hiszpanom, to Najświętsza Panna zajęta byłaby tylko pobudzaniem do czynów, bardzo często nie zupełnie chwalebnych... Lecz cóż począć, kiedy człowiek najwznioślejsze idee musi skazić swą niedoskonałością.

— Pan hrabia bowiem — ciągnęła dalej służąca — wcale nie poszedł do pana Koeleritza. Jest on teraz w małym hoteliku Cadix, gdzie kazał sobie podać obiad... Taki człowiek, jak nasz pan, jeżeli zachodzi do pospolitej knajpy na jedzenie, to znaczy, że musi się ukrywać. By dowiedzieć się, gdzie jest pan Trelam, to trzebaby się udać do św. Antoniego Padewskiego, którego cudowne oko odkrywa zgubione rzeczy; pan Maks zaszedł tylko na chwilę do hotelu i zaraz wyszedł, mówiąc, że wróci dopiero późno w nocy... Gdzie jest teraz? Pewnie tam, gdzie i suchy liść, który uniósł wiatr wczorajszy...

Można łatwo domyśleć się wrażenia, wywołanego przez to opowiadanie. Przerażona Niete w przekonaniu, że rozegra się jakiś dramat, którego ja stanę się ofiarą, gdyż kolczastą kulę hrabia mógł zabrać z sobą tylko na mnie, chwyciła się rozpaczliwych środków. Prowadzona przez Concepcion wymknęła się z Casa Avreda przez drzwiczki od ulicy Zorilla, dostała się pod restauracyę Cadix, gdzie przez szyby ujrzała, jak ojciec jej płacił służącemu za spożyty obiad. Miał więc wyjść zaraz i skierować się do nieznanego miejsca, w którem naznaczył mu spotkanie. Szalona myśl pobudziła Nietę do odprawienia służącej do domu. Jeżeli ma się dokonać zamach, nie ona powinna być jego świadkiem. Dość już bolesną będzie obecność córki winowajcy.

Niete nie doznawała już żadnego strachu. Będzie tam, by bronić swego narzeczonego... przeciw ojcu, który okazał się nietylko szpiegiem, lecz jeszcze i zabójcą! Naturalnie, że Concepcion opierała się: nie mogła ona zrzec się dobrowolnie ostatniego aktu dramatu, którego pierwszych scen była świadkiem. Ubóstwiała jednak „swego białego gołąbka“ i ustąpiła, by nie niepokoić Niety, która pozostała na ulicy przed hotelikiem, czekając na wyjście ojca. Ona, posłuszna i przez tak długi czas uległa córka, miała śledzić tego, kto był już shańbiony szpiegostwem.

Tego wszystkiego dowiedziałem się potem dopiero od Concepcion, narazie leżałem wsparty o czaprak, licząc upływające minuty, co tem pewniej mogłem czynić, iż jakiś zegar wydzwaniał z monotonną regularnością godziny, pół godziny i kwadranse. Intrygowało mnie, gdzie znajduje się ten zegar, gdyż wydawało mi się, iż dźwięki dochodzą mnie z zewnątrz poprzez mury.

Ósma godzina! Dziewiąta godzina! A ja ciągle wśród ciemności. Zaczynam niecierpliwić się nie z powodu oczekiwania, lecz niezrozumiałej powolności X 323. Dlaczego niema go jeszcze tutaj? Jeżeli najprostsze rozumowanie wskazało mi jako konieczność, bym przyszedł tutaj wcześniej, dlaczego i on nie uczynił tego? Jestem jak na rozżarzonych węglach, nie panując nad sobą. Moje ja zbuntowało się przeciw mej własnej woli, stało się niewolnikiem innych indywidualności. Błądzi ono daleko w poszukiwaniu X 323 i hrabiego Holsbeina. Jest to pogoń moralna w ciemnościach. Przypomniał mi się sąd, odbyty w paryskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nowoprzybyłemu uczniowi jeden ze starszych pokazuje płótno w ramach, całkowicie zamazane równo czarną farbą i zadaje pytanie:

— Zaraz przekonamy się o twojej inteligencyi. Powiedz, co to przedstawia?

Bojaźliwy przybysz napróżno wytrzeszczał oczy i natężał swą oponę mózgową, aż wreszcie przyznał się ze skruchą, że nie wie; w odpowiedzi na to usłyszał te słowa:

— Nie wątpiłem o tem. Jesteś idyota... Wiedz, młody kretynie, że masz przed sobą największe arcydzieło najczystszego impresyonizmu... Obraz ten przedstawia walkę murzynów o północy.

Umysł mój torturuje obecnie podobny impresyonizm. Szukam w nocy niewidzialnych cieniów.

Dziesiąta godzina... Ach! Serce me ściska się. Podnosi się płyta od przejścia podziemnego. Kto się ukaże? Przyjaciel czy wróg? X 323 czy Holsbein?... Na szatana! To hrabia; poznaję go po szerokim biuście, oświetlonym słabo latarką. Niemiec przybywa pierwszy, zmuszony będę atakować go, by obronić cenne życie swego rodaka, będę walczył przeciw ojcu Niety. Lecz rodzi się we mnie nowy niepokój, lękam się, by mnie nie odkrył. Hrabia chodzi po całem podziemiu, zagląda w kąty, jakby poszukiwał tutaj nowych broni. Dotyka się ich, słyszę szczęk oręża.

Lecz cóż się stało? Podbiegł do przejścia. Zdaje mi się, że się dobrze domyślam. Nie zasunął płyty i chce to teraz uczynić, by nie zostawić śladu po sobie. Lecz nie, dostrzegam niewyraźnie jak się wyprostowywa przy przejściu i gasi latarkę. Ogarnęła mnie nieprzenikniona noc... Natężam słuch i dolatuje mnie lekki szmer. Ach! Wiem, zgaduję... Nadeszła decydująca chwila... Kurz na ziemi skrzypi pod cichemi krokami. Zapewne to X 323. A hrabia w ciemności oczekuje, by rzucić się na niego.

Żegnaj droga! Za Anglię!... Zerwałem się.

Lecz szybciej od błyskawicy rozegrał się akt śmierci.

Widzę... a raczej nie widzę... Jak wyrazić położenie, gdy się dostrzega ruch cieniów w cieniu... Oczy przestają działać przy takim widoku. Budzi się w nas wtedy jakiś szósty tajemniczy zmysł, zmysł psychiczny.

Oślepłe, uwięzione w ciemnościach moje ja wyczuwa, że w mrocznym otworze podziemnego przejścia zjawia się jakaś czarna postać... Zdaje mi się, że podnosi się ręka, opisuje w górze młynek i spada.

Głuchy sztuk i krótki krzyk, który jednak zabrzmiał całą tragiczną gamą od przerażenia aż do rzężenia... Upadek ciała na ziemię... Milczenie.

Wszystko to nastąpiło po sobie w mgnieniu oka, z niesłychaną szybkością. Zostałem jak oszołomiony z sparaliżowanemi członkami.

Ach! Ten krzyk!... Dobył się on z piersi kobiety... Serce me rzuciło się we mnie, drgnęło i zamarło, a krew z całego ciała uderzyła do głowy, budząc w niej jedną myśl: Niete! Niete! Toś ty rzuciła tę bolesną skargę w nocy.

Milczenie nie trwało sekundy. Ciemności rozjaśnił błysk światła, w którym ujrzałem hrabiego z kulą w ręku, a u nóg jego zwalone ciało, okryte suknią... którą widziałem niedawno.

Niete... Poznałem twój głos. To Niete, którą ojciec przyjmując za X 323, powalił na ziemię jednem uderzeniem swej strasznej broni.

Jednocześnie w tej samej chwili padł strzał, szpieg rzucił w powietrze jeden jęk i z skrzyżowanemi rękami, z głową przeszytą kulą padł obok swego dziecka.

Każdemu zdarzyło się, że skaleczył się nożem... każdy też wie, że ból odczuwa się w chwilę dopiero po zadaniu tej rany. To samo się dzieje i z ranami moralnemi, gdyż w tym momencie nie doznałem najmniejszego wrażenia. Nastąpiło we mnie jakby obumarcie nerwów. Machinalnie zwróciłem wzrok w stronę, skąd padało światło. Ujrzałem ze zdumieniem uniform dozorcy muzealnego na niskim, przygarbionym człowieku. Podszedłem do niego i z niepojętą w podobnych okolicznościach zimną krwią odezwałem się:

— Byłem tu, by nie dopuścić do zbrodni, która się stała niestety.

Człowiek ten nie pozwolił mi dokończyć.

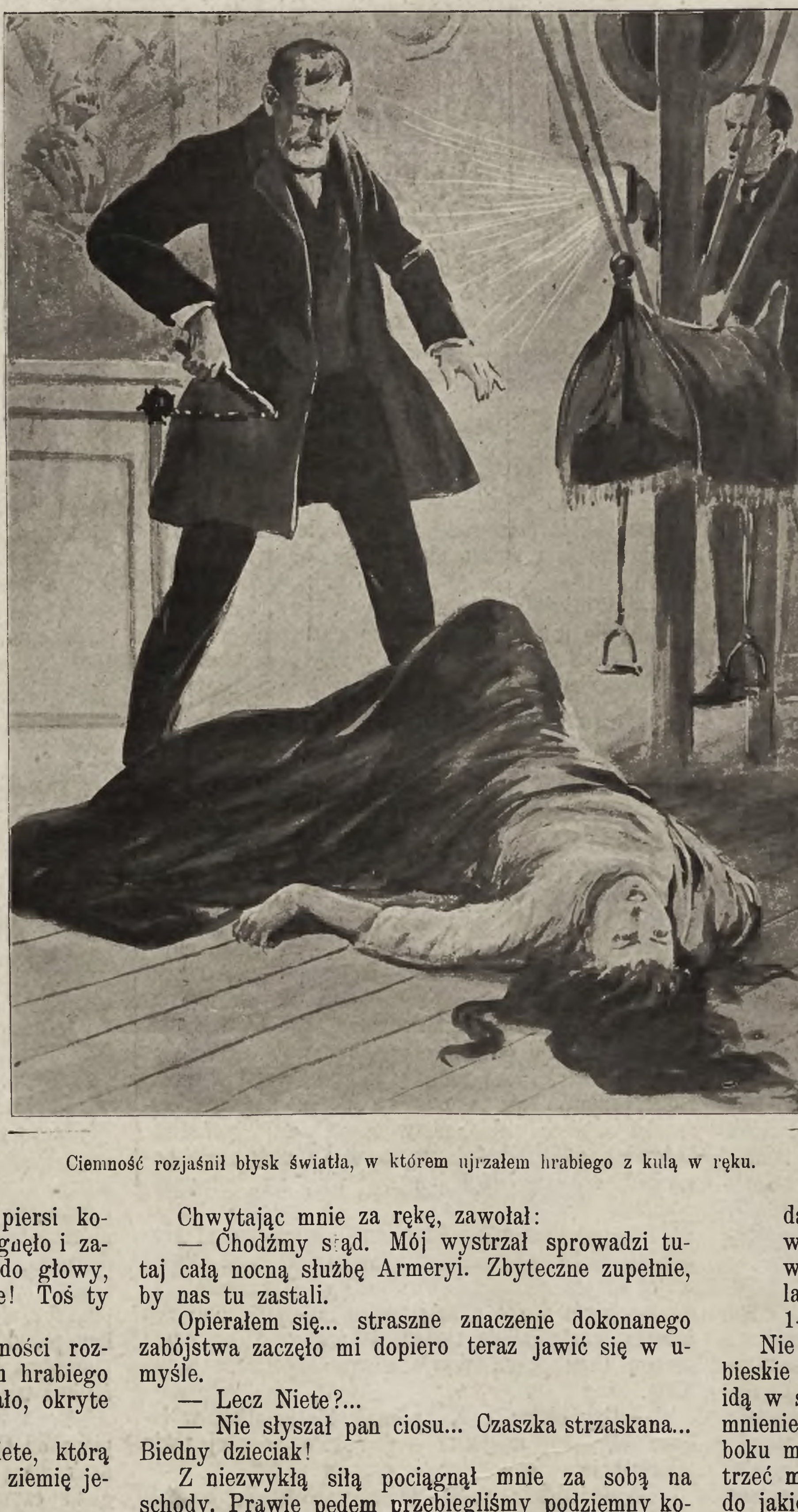
— Ach! Tak! Czyż wszędzie pana muszę spotykać — rzekł gniewnym tonem, który jednak zaraz zmienił. — Wiedział więc pan o liście, posłanym do Koeleritza?

— Tak i o zasadzce, urządzonej na pana.

Zrozumiałem odrazu, że mam przed sobą X 323 w nowej tylko postaci, nie przypominającej w niczem poprzednich.

Nachylił się nad ciałem hrabiego i podniósł się zaraz z kopertą w ręku. Drżącym z radości głosem rzekł do mnie:

— Mam dokument... Ukrywał go tutaj w tej starej zbroi rycerza hiszpańskiego.



Ciemność rozjaśnił błysk światła, w którem ujrzałem hrabiego z kulą w ręku.

Chwytając mnie za rękę, zawołał:

— Chodźmy stąd. Mój wystrzał sprowadzi tutaj całą nocną służbę Armeryi. Zbyteczne zupełnie, by nas tu zastali.

Opierałem się... straszne znaczenie dokonanego zabójstwa zaczęło mi dopiero teraz jawić się w umyśle.

— Lecz Niete?...

— Nie słyszał pan ciosu... Czaszka strzaskana... Biedny dzieciak!

Z niezwykłą siłą pociągnął mnie za sobą na schody. Prawie pędem przebiegliśmy podziemny korytarz... W dziesięć minut potem wychodziliśmy ze Studni Maurytańskiej. O dwadzieścia kroków od oberży Kamoensa czekał na nas powóz. X 323 wskazał mi go.

— Za godzinę kuryer będzie mnie unosił do Londynu. Jutro może pan opowiedzieć *Timesowi*, co pan widział...

Z nagłem wzruszeniem dodał:

— Biedny pan!... Pracować i pracować! Jedyna praca ocala od gnębiących nas myśli...

Pobiegł do powozu, wskoczył do środka i zniknął w nocy.

. . . .

W dwa dni potem w kościele Santa Cruz księża śpiewali pożegnanie liturgiczne nad dwiema trumnami, z których jedna pokryta była białą materyą. Ciało hrabiego Holsbeina-Litzberga i tej, która miała być mą żoną, powracało do ziemi.

Znalezienie dwóch zwłok w podziemiu Armeryi i odkrycie tajnego przejścia, dotykającego do Studni Maurytańskiej, wywołało w całem mieście, a następnie w całym świecie niezwykłe wrażenie.

Nic mnie jednak nie interesowało. Opóźniłem nawet o całą dobę wysłanie do *Timesa* depeszy, składającej się z siedmiu tysięcy trzystu trzydziestu pięciu słów, co mnie stawiało w szeregu książąt dziennikarstwa. Lecz cóż znaczyła już dla mnie sława, wziętość, majątek, gdy w serce zapadła żałoba. Niemy, bez czucia, bez łzy jednej w oku odprowadziłem na wieczny spoczynek tę, którą los porwał mi z objęć. Już tłumy odeszły z cmentarza, a nie mogłem odwrócić wzroku od ziemi, która zasypała jej cudne niebieskie oczy... Nagle ktoś dotknął mojego ramienia.

Tanagra stała przedemną. Piękność jej miała obecnie w sobie coś ostrego, nieskończenie smutnego.

— Niech pan odda się pracy — rzekła do mnie, powtarzając nieświadomie słowa, jakiemi pożegnał mnie X 323. — Niech pan wierzy, że tak może jest i lepiej.

Zbladłem cały wobec tak okrutnego sądu. Dodała zaraz:

— Nie, ja nie jestem nieczułą... Żałuję pana... Żałuję i ją... Rzucam jednak w pana myśl, która przyjmie się, bo jest prawdziwa.

I z powagą, w której łkała cała rozpacz ludzka, rzekła mi znowu zdanie, jakie z ust jej słyszałem w czytelni hotelowej.

— Patryotyzm, poświęcenie, odwaga, miłość, nic nie zostanie policzone szpiegom, ani jego bliskim, córce, żonie... — westchnęła — lub siostrze... Oni są szpiegami i to biczujące słowo znaczy ich na całe życie... Wiem, że świat jest niesprawiedliwy, lecz jest takim.

Oddalając się, powtórzyła jeszcze:

— Tak może jest i lepiej.

. . . .

W takich okolicznościach wszedłem w stosunki z X 323. Dzięki jemu stałem się królem reporterów; artykuły moje wywoływały olbrzymią sensacyę w całym świecie. Wskazałem nawet dokładne miejsce, w którem przez tak długi czas dokument ten był ukrywany. I tego szczegółu udzielił mi tylko X 323 w uprzejmym liście, jaki mi nadesłał wkrótce po rozstaniu się w Madrycie:

„*Dear sir*, ukrycie było dobrze wybrane. Wie pan, że niektóre lance kawalerzystów składają się z dwóch części, wkręcanych jedna w drugą na wysokości rękojeści. Do takiego wydrążenia Holsbein wsunął dokument. Dana lanca należała do Czarnego Księcia i nosi nr. 1417 Katalogu Armeryi. Pozdrowienia X 323“.

Nie przywrócił mi on jednak spokoju, gdyż niebieskie oczy Niety nie opuszczają mnie ani na chwilę, idą w ślad za mną, przywodząc na pamięć wspomnienie rozkosznych chwil, jakie spędziłem przy boku mej zmarłej narzeczonej. I nic nie może zatrzeć mego smutku, ani nowa tajemnicza sprawa, do jakiej wezwał mnie znowu X 323.

Posłaniec uliczny przyniósł mi bowiem list, mówiąc, iż wręczyła mu go jakaś dama. Zawierał on te słowa:

„Dear sir Trelam.

Niech pan poprosi dyrektora *Timesa* o nową misyę... Dowie się pan o wszystkiem na pokładzie statku z Douvres do Calais. Ważna sprawa, godna pierwszego reportera *Timesa*.

Oddany panu X 323“.

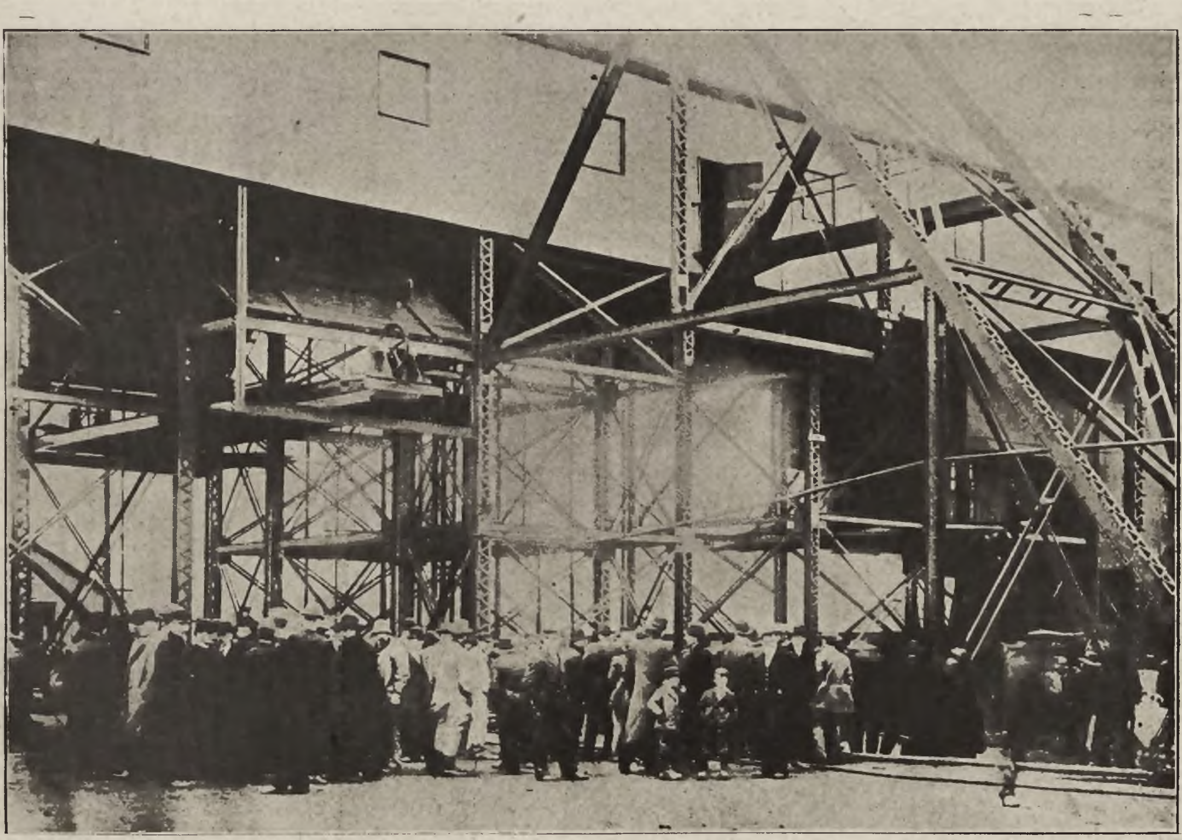
Natychmiast zacząłem przygotowywać się do drogi i teraz ruszam po zdobycie nowej tajemnicy, którą podzielę się po powrocie ze swymi czytelnikami.

Straszna katastrofa w kopalni.

Twarda jest dola chłopa naszego, zmuszonego wędrować za zarobkiem na obczyznę, na Saksy, do Danii, Francyi, Ameryki. Ileż go niespodzianek czeka, zanim dojedzie do upragnionego celu swej podróży, ile hyen, żyjących z wyzysku tych nieszczęśliwych emigrantów, czeka nań po drodze, jak na upragniony żer! A po przybyciu na miejsce, po znalezieniu roboty, ile niebezpieczeństw czyha nań, wie tylko ten, kto raz choć widział tych wygnańców, pracujących na obczyźnie w najcięższych warunkach, zdanych na łaskę losu i uczciwość obcych. A mimo to rok rocznie tysiące chłopów galicyjskich ciągnie na Saksy i jeszcze dalej, za morze — do Ameryki i czują się szczęśliwymi, gdy znajdą tam pracę i możność zarobku, który pozwala im chociaż marzyć o powrocie do kraju, do rodzinnej wsi z zaoszczędzonym groszem.

Kopalnie w Cherry w stanie Illinois północnej Ameryki należały do miejscowości, dokąd od lat już ciągnęły liczne rzesze emigrantów tak z Galicyi jak i z całej Słowiańszczyzny. Cherry z biegiem czasu stało się kolonią, grupującą poważny zastęp robotników tak polskich jak czeskich i słoweńskich.

Ale praca w kopalni, aczkolwiek popłatna, nie jest wolną od niebezpieczeństw. Górnik, zjeżdżający do szybu, nie wie nigdy, czy z powrotem wyjedzie, czy zobaczy jeszcze światło dzienne i swych najbliższych. Iluż to górników padło już ofiarą swej pracy zawodowej, ilu zalała woda w szybach, ilu zginęło w płomieniach palących się gazów, ilu zostało przysypanych gruzami walących się korytarzy!?



Straszna katastrofa w kopalni: Wjazd do szybu św. Pawła, otoczony górnikami, zgłaszającymi się dobrowolnie z pomocą wakcyi ratunkowej.



Straszna katastrofa w kopalni: Tłumy, oblegające szyb w Cherry, po rozejściu się wieści o katastrofie.

Mimo niezwykłej ostrożności, z jaką pracują górnicy w szybach, zdarzają się wypadki, powodujące straszne katastrofy i pociągają za sobą śmierć niespodziewaną wszystkich, którzy w chwili katastrofy znajdują się w szybie.

Oto w Cherry, w chwili, gdy praca w kopalni węgla była w pełnym toku, wybuchł pożar, który odciął zupełnie wyjście wszystkim w szybie św. Pawła pracującym górnikom. Początkowo myślano, że pożar nastąpił wskutek zapalenia się gazów. Tymczasem powodem katastrofy było nieopatrzne obchodzenie się jednego z górników ze światłem; od płonącej pochodni zapaliła się wiązka siana, a następnie stajnie dla mułów, używanych w szybie do przewożenia wózków.

Pożar szybko się szerzył i mimo natychmiastowych usiłowań nie zdołano ugasić go przez zatopienie szybów. Celem więc ograniczenia katastrofy, zamurowano wejścia do szybów innych, znajdujących się w niebezpieczeństwie. Tem postąpieniem skazano na śmierć zamkniętych pod ziemią górników. Kto nie zginął od duszących gazów, ten odcięty od światła musiał czekać powolnej śmierci głodowej. Zaledwie 24 górników zdołało się wyratować, reszta t. j. koło 500, padła ofiarą nieopatrznego obchodzenia się ze światłem swego współtowarzysza pracy.

Na wieść o katastrofie szyb został oblężony przez rodziny nieszczęśliwych górników, które dniem i nocą czekały na wiadomość o losie swych ojców, synów i braci. Wszelki ratunek okazał się niemożliwym do przeprowadzenia a oddziałom ratunkowym pozostało jedynie smutne zadanie wydostania i odszukania zwłok ofiar strasznej katatrofy.

Niezwykła linia kolejowa.

W Norwegii wybudowano linię kolejową między Chrystyanią a Bergen, która bezsprzecznie uchodzi za jedną z najoryginalniejszych w Europie, a równocześnie za jedną z najbardziej godnych widzenia. Tak trudnego terenu do przeprowadzenia trasy, na jaki tu napotkano, nie widziano dotychczas nawet w Alpach.

Pod względem wysokości położenia trasy, kolej Chrystyania-Bergen nie ustępuje prawie wcale kolejom alpejskim. Punkt kulminacyjny wzniesienia osiąga wysokość 1.301 m. Pod względem spadzistości terenu, po którym trasę przeprowadzono, niema kolej Chrystyania-Bergen sobie równej. Koło Opset t. j. w odległości 150 klm. od Bergen, wzniesienie względnie spadek terenu wynosi 600—700 m. na 100 klm.

Prócz trudności terenowych inżynierowie, którzy kolej tę budowali, mieli jeszcze do zwalczenia inną trudność. Mianowicie w miesiącach zimowych i to przynajmniej przez 5 miesięcy, linia ta wystawiona jest na szalone zaspy śnieżne, przy których, jak się już obecnie przekonano, nawet 3 maszyny nie uciągną pociągu. Urozmaiceniem tej linii kolejowej jest



Straszna katastrofa w kopalni: Wydobywanie zwłok górników, zabitych w szybie św. Pawła w Cherry.



Kara za opilstwo: Ludność w Prizrendi, piętnująca publicznie pijanego współobywatela.

wreszcie cała masa tunelików, niezwykle oryginalnie przeprowadzonych i przeważnie z drzewa wybudowanych, jak to przedstawia jedna z naszych illustracyi. Tuneliki umożliwiają nie tylko omijanie trudnych miejsc, gdzie niejednokrotnie nie można było nawet myśleć o przeprowadzeniu trasy, choćby ze względu na teren skalisty, ale równocześnie zabezpieczają na dużych przestrzeniach linię przed zaspami śnieżnemi.

Linia Chrystyania-Bergen, otwarta dopiero 28 października, jest pod względem długości drugą z kolei linią kolejową w Norwegii i ma 492 kilom.

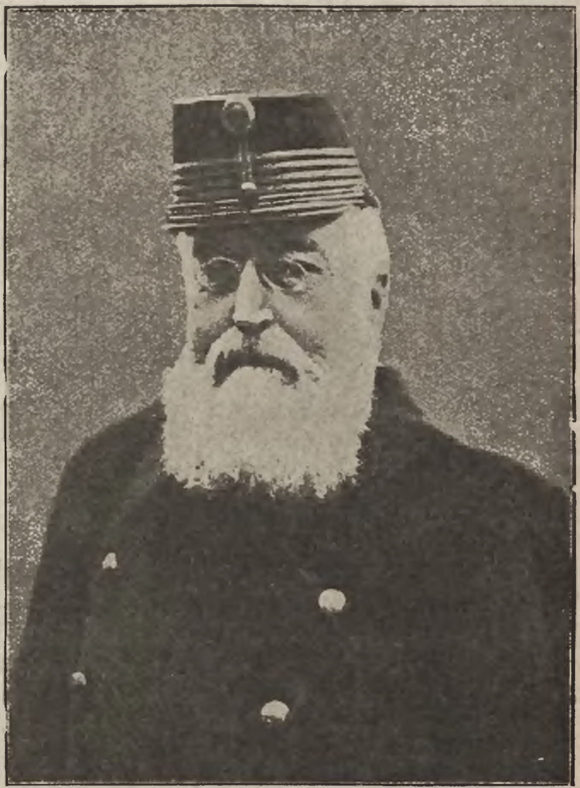


Niezwykła linia kolejowa: Tuneliki z drzewa, chroniące tor przed zaspami śnieżnemi.

Kara za opilstwo.

Nie wielu zapewne, nawet wśród eleuterzystów naszych, wie o tem, iż są kraje na wschodzie, gdzie pijaństwo należy do bardzo hańbiących i surowo karanych występków. Jest to tem dziwniejsze, że u nas, a nawet dalej na zachodzie, zapatrywania pod tym względem są mniej surowe, choć wobec wyższego poziomu oświaty i kultury należałoby oczekiwać właśnie czegoś wprost przeciwnego.

Takim wrogo wobec pijaństwa usposobionym krajem jest n. p. Albania. W mieście Prizrendi, liczącem około 50.000 ludności, przeważnie słowiańskiej, ale wyznania mahometańskiego, istnieją nawet bardzo szczegółowe a ostre przepisy, określające sposób wykonania kary na nałogowo upijających się ludziach. Najgorsze zaś dla przestępcy jest to, iż karę tę wykonywa się publicznie, wobec tłumów ludności, dla której to ma być odstraszającym przykładem.



Spisek przeciw kochliwemu królowi: Król Leopold belgijski.

Otóż schwytanego na gorącym uczynku opilstwa obywatela, prowadzą zastępcy władz związanego przez ulice miasta, następnie przywiązują go do słupa i tam odbywa się dalsza egzekucya. Polega ona na tem, iż tłum, zwabiony okrzykami i odgłosem bębnów, urąga pijanemu, wyszydza go, a od czasu do czasu i dotkliwiej daje mu odczuć swą przewagę, tak iż nieszczęsna ofiara alkoholu wychodzi po takiej egzekucyi nie tylko zupełnie wytrzeźwiona, ale z siñcami i guzami.

Taką właśnie scenę na jednej z ulic Prizrendi, przedstawia nasza rycina.

Austryacki balon do sterowania.

Powodzenia zagranicznych żeglarzy napowietrznych skłoniły wreszcie i austryacki zarząd wojskowy do postarania się o balony do sterowania,

które w przyszłej wojnie mają odegrać tak ważną rolę. Po różnych próbach zdecydowano się na system majora Parsevala, który okazał się najpraktyczniejszym. We Fischamend zbudowano ogromną halę, przeznaczoną na pomieszczenie balonu, którego wykonaniem zajęło się towarzystwo motorowych statków powietrznych (Motor-Luftfahrzeuggesellschaft).

W ubiegłą niedzielę odbył się próbny lot balonu z Fischamend do Wiednia i z powrotem. Kto żył, wyruszył na ulice miasta; okna, dachy i balkony były przepełnione publicznością, a cesarz z okna swych apartamentów w Burgu śledził uważnie wszystkie poruszenia statku. Popis wypadł doskonale. Od strony Fischamend nadpłynął nad miasto kolos, kształtu ogromnego cygara, okrążył lekko wieżę św. Szczepana, przeleciał nad zamkiem cesarskim, a następnie skierował się w stronę Schönbrunnu i powrócił do hangaru. Tak lot jak i lądowanie odbyło się bez żadnego wypadku. Balon poruszał się z przeciętną chyżością czterdziestu czterech i pół kilometra na godzinę, przekroczył więc wyznaczoną normę, którą określono pierwotnie na czterdzieści kilometrów. Także obciążenie było większe, niż żądała umowa z fabryką, zamiast bowiem trzech żeglarzy i czterdziestu kilogramów balastu, siedziało w łodzi czterech zastępców wojskowości i fabryki, wzięto zaś 180 kgr. balastu.

Ponieważ pogoda sprzyjała, udało się z Wiednia do Fischamend mnóstwo osób, między innemi arcyksiążę Leopold Salwator, który zawsze interesuje się postępami w dziedzinie aeronautyki, wnuczka cesarza, ks. Elżbieta Windischgrätz z dziećmi, minister wojny, wielu generałów i t. d. Wzlotem kierował kapitan Hinterstoisser, komendant austryackiego aeronautycznego zakładu wojskowego. Drugi wzlot, który miał się odbyć nazajutrz, musiano odłożyć z powodu nader silnego wiatru.

Illustracye nasze przedstawiają wnętrze hali wraz z balonem, gotowym już do podróży, oraz księżnę Windischgrätz z dziećmi, przypatrującą się we Fischamend ewolucyom balonu.



Spisek przeciw kochliwemu królowi: Baronowa Vaughan.



Pływający automobil: Skonstruowany przez Ravaillera automobil, wjeżdżający do rzeki.

Spisek przeciw kochliwemu królowi.

Król belgijski Leopold należy do panujących najbardziej znienawidzonych przez swych poddanych. Mimo podeszłego wieku, nie wygasła w nim jeszcze żyłka do szukania awantur miłosnych, co wśród Belgijczyków wywoływało od bardzo dawna słuszne oburzenie, aż w końcu doszło do tego, że publicznie zaczęto mówić o detronizacyi króla-rozpustnika.

Już przed dwoma laty, gdy wypłynęła na wierzch afera króla Leopolda z baronową Vaughan, powstała myśl ustanowienia regencyi w miejsce króla, którego poczęto uważać za umysłowo nienormalnego. Afera ta jednak z biegiem czasu przycichła, a przyczyniło się do tego i to, że baronowa Vaughan, z którą król utrzymywał stosunek, mieszkała zdala od stolicy Belgii. W Lormay, w pałacu, kupionym dla swej kochanki przez rozmarzonego starca, żyła sobie baronowa jak królowa, ale pobyt jej za granicą królestwa belgijskiego przynajmniej do pewnego stopnia położył kres demoralizacyi, szerzonej przez króla.

Oburzenie przeciw królowi, które chwilowo przycichło, obecnie znowu w całej pełni zawładnęło umysłami mieszkańców stolicy Belgii. Oto bar. Vaughan sprowadziła się do Brukseli i zamieszkała tuż obok zamku królewskiego. Już i do tego może przyzwyczailiby się Brukselczycy, ale kochanka Leopolda zaczęła się mieszać do spraw państwowych i wywoływać na dworze intrygi, uniemożliwiające poprostu pracę funkcyonaryuszom rządowym. Ma się rozumieć, że sposób jej życia, pochłaniający miliony ze szkatuły królewskiej, wywołuje wśród Belgijczyków ogólne zgorszenie, przeciw któremu podnosi się cała opinia publiczna w Belgii.

Intrygom tej królewskiej kochanki przypisać na-

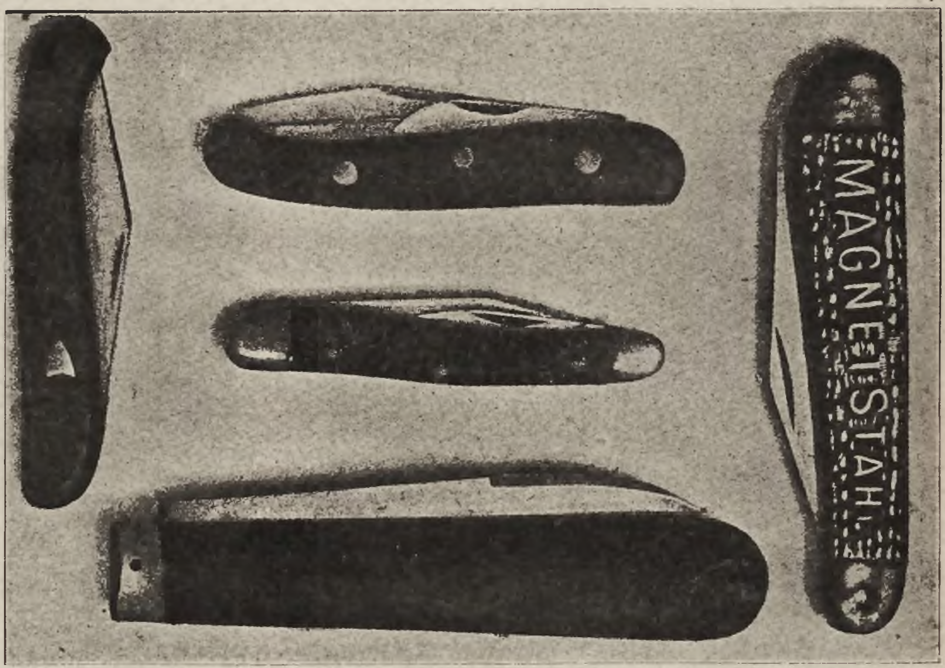


Niezwykła linia kolejowa: Pociąg na nowo otwartej kolei Chrystyania-Bergen, ciągniony przez 3 lokomotywy wśród olbrzymich zasp śnieżnych.

leży i to, że król Leopold zamierza pozbawić dzieci swe spadku i że w tym celu lokuje swe kapitały w towarzystwach akcyjnych. Między innemi król przystąpił do założenia linii okrętowej między Antwerpią a Kongo, a akcye w większej części przelał na swą kochankę i rozdał wśród swych popleczników, którzy przez palce patrzą na jego amory.



Zabawne wyścigi: Wyścig najmłodszych cyklistów, w ogrodzie zoologicznym w Kopenhadze, z szympansem „Grethe“.



Dobry żołądek: Zralezione przy operacyi żołądka Wacława Luska scyzoryki.



Dobry żołądek: Wacław Lusk.

Niezadowoleni z rządów króla Leopolda, a jest ich w Belgii więcej niż zadowolonych, przeprowadzili już rokowania z następcą tronu, księciem Albertem, który przyrzekł podobno przyjąć koronę w razie zamachu stanu i detronizacyi Leopolda.

Pływający samochód.

Umysł ludzki nie przestaje pracować na polu ulepszenia techniki komunikacyjnej i każdy dzień niemal przynosi nowe zdobycze, nowe tryumfy ludzkości. Niesłychanie szybka zmiana, jaka w dziedzinie komunikacyi widoczna jest w czasie od połowy ubiegłego wieku do dziś, musi wprawić w zdumienie i podziw. Nie tak to dawno, bo starsi ludzie pamiętają jeszcze te czasy, jedynym środkiem komunikacyi kołowej był wóz, zaprzężony w konie lub inne zwierzęta pociągowe, a na wodzie żaglowce i parowce, których budowa jednak wielce się różniła od parowców dzisiejszych. Dziadowie nasi nie marzyli nawet o całym szeregu współczesnych środków komunikacyi, jak o kolei żelaznej, o rowerach, motocyklach, automobilach, wreszcie o balonach ze sterem lub aeroplanach. Dziś wszystkie te środki lokomocyi przeszły z zakresu marzeń do rzeczywistości i każdy człowiek może z nich korzystać.

Najmodniejszym obecnie środkiem przewozowym jest samochód, z którym zwolna zaczynają współzawodniczyć aeroplany. Dowiadujemy się też o coraz nowych zmianach i ulepszeniach w budowie samochodów, dozwalających na najwszechstronniejsze ich użycie.

Najnowszym pomysłem, z powodzeniem przeprowadzonym w tej właśnie dziedzinie, jest pływający samochód, stanowiący kombinacyę łodzi motorowej i samochodu. Praktyczność tego wynalazku polega w tem, iż takim pływającym samochodem można odbywać podróże zarówno na lądzie, jak po wodzie. Budowa jego jest zupełnie prosta i pojedyncza, jak to zresztą widać na załączonej rycinie.

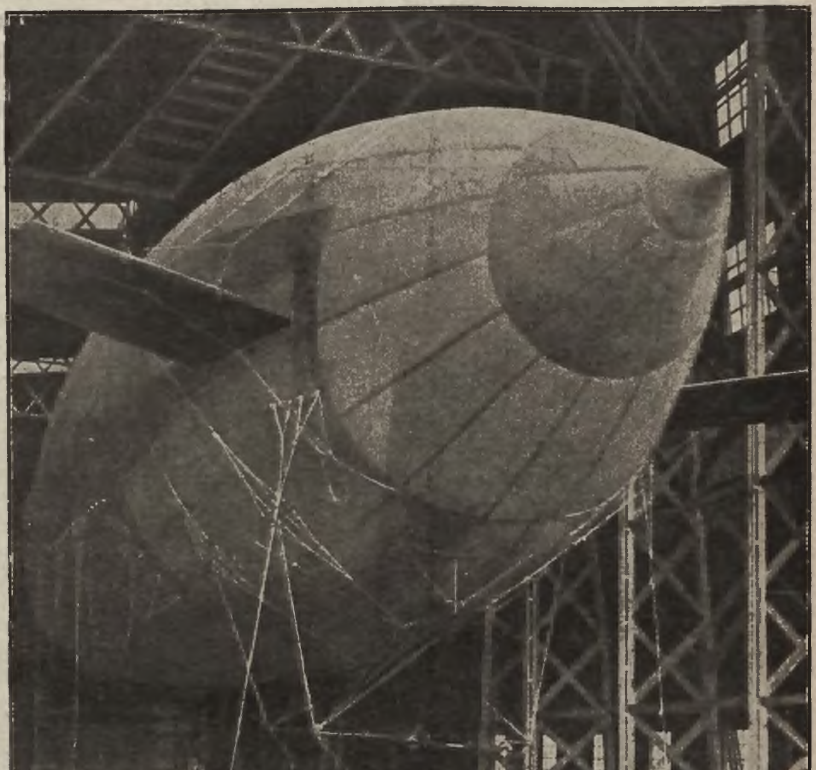
Pływający samochód zbudowany jest w ten sposób, iż cały szkielet wozu, z wyjątkiem kół, okryty jest płaszczyzną z blachy, w kształcie łodzi. Zresztą jest tam wszystko urządzone tak, jak w zwyczajnych samochodach, z tą różnicą, że zewnętrzna część opatrzona jest ponadto sterem i propellerem, t. j. rodzajem śruby okrętowej, stosowanymi w czasie podróży wodą, a poruszanymi za pomocą wspólnego motoru, o sile kilkunastu H. P.

Doniosłość tego środka komunikacyi jest olbrzymia, zwłaszcza dla celów wojskowych. Wynalazca jego, Francuz Ravailler, oddał go na próbę armii francuskiej. Zauważyć jeszcze trzeba, iż pływający samochód porusza się na lądzie z szybkością około 40 klm. w godzinie a na wodzie 12 do 15 klm.

Rycina nasza przedstawia samochód, skonstruowany przez Ravaillera, w chwili gdy z czteru wojskowymi wjeżdża z drogi lądowej do rzeki, by ją jako łódź motorowa przepłynąć.



Austryacki balon do sterowania: Księżna Elżbieta Wingischgrätz, wnuczka cesarza, przyglądająca się wzlotowi.



Austryacki balon do sterowania: Wnętrze hali z balonem, gotowym do wzlotu.

A. K. Green.

Który z nich?

14 (Ciąg dalszy).

Miałem powody, dla których mu nie mówiłem, że żona moja żyje. I chociaż obecnie nie żałuję wcale milczenia, jakie o tem zawsze zachowywałem, muszę jednak przyznać, że temu właśnie zawdzięczam swą fałszywą pozycyę, w jakiej się dzisiaj znajduję i smutek, że ukochana moja żona zmarła w norze, w jakiejbym nawet psa nie pomieścił.

Nie można pomylić się co do szczerości prawdziwego bólu. Cokolwiek za ostre wejrzenia, jakie Rollin zwrócił początkowo na tego przestępcę, zaczęło widocznie łagodnieć. Twarz jego nabrała wyrazu zwykłej mu dobroduszności. Nic jednak jeszcze nie odpowiadał. Milczenie stawało się uciążliwem. Trzeba zresztą przyznać, że położenie było dość kłopotliwe, nawet dla tak doświadczonego agenta, jak stary Rollin. Widząc to, postanowiłem wejść do pokoju i stanąć koło Rollina, jak to poprzednio uczynił Doucet. Lionel Hardy nie zdziwił się moją obecnością. Uważał mnie bez wątpienia za ajenta. Jeden więcej czy jeden mniej, niewiele to znaczyło. Ponieważ jednak moi towarzysze nie spodziewali się mnie tutaj, jak to wyczytałem z ich oczu, zwróciłem się do Rollina i rzekłem:

— Jeżeli pan pozwoli, chciałbym powiedzieć jedno słowo panu Hardy'emu.

Lionel zadrżał, popatrzył z niejaką ciekawością na me zmoczone ubranie, potem utkwił wzrok w mej twarzy, jakby chciał przypomnieć sobie, gdzie mnie już widział.

— Pan zapewne pamięta moje nazwisko. Jestem Maujean. Jeżeli pan wybaczy mi moją bezceremonialność i udział w tych wypadkach, ośmielę się ofiarować panu swe usługi w tej krytycznej chwili. W razie gdy pan przystanie na to, pozostanę tu na straży, gdy panowie razem się oddalą. Nikomu nie pozwolę zbliżyć się do tego posłania. Nikt nawet nie wejdzie do tego pokoju, o ile pan Rollin zechce pozostawić jednego ze swych ludzi przy drzwiach. Czy godzi się pan na to? Oświadczenie to płynie ze szczerego serca.

Zawahał się na chwilę, utkwiwszy we mnie swe zdziwione i niespokojne oczy. Potem obrócił się ku siennikowi, popatrzył z niewypowiedzianą czułością na leżące na nim zwłoki i rzekł:

— Nie przypuszcza pan chyba, bym mógł opuścić ją choć na chwilę. Od wielu już lat nie miałem jej tak blisko siebie. Nie może już teraz wstać, by uciec ode mnie. Nie chcę nawet tego! Jest to dla mnie szczęście, którego pan nawet nie jest w stanie ocenić, szczęście ledwie poczęte, a już przerwane. Błagam was, pozostawcie mnie w spokoju, dopóki ona nie spocznie w grobie. Wtedy będę gotów na przyjęcie panów, gotów do wytłómaczenia wszystkiego.

— Żąda pan rzeczy, której przyznanie nie leży w naszej mocy — przerwał Rollin. — Jeżeli pan nie życzy sobie być odprowadzonym wprost stąd, w takim razie nie odmówi nam pan pewnych wyjaśnień. Jaką rolę odegrała ta kobieta w dramacie, zakończonym śmiercią pana Hardy'ego?

— Żadnej!

Siła, z jaką wymówił to twierdzenie, zdumiała nas wszystkich. Słysząc tak rażące kłamstwo, otworzyłem bezwiednie usta, by zabrać głos, gdy Rollin dał mi niespostrzegalny znak, nakazujący milczenie.

— Widzę — mówił dalej nieszczęśliwy człowiek — że podejrzenia, jakich stałem się ofiarą razem z swymi braćmi, rozciągają się obecnie i na mą niewinną żonę. Czuję się więc zmuszonym odrazu przedstawić panom jej tragiczną historyę.

Stary ajent podszedł zamknąć okno.

— Proszę zobaczyć, czy niema kogo na korytarzu — dodał przezornie.

Doucet spełnił zaraz zlecenie. Gdy otwierał drzwi, z parteru doleciały nas jakieś krzyki, zmieszane z wybuchami śmiechu, nad którymi dominował ostry głos jakiejś kobiety, śpiewającej fałszywie modną piosenkę. Rollin dał znak swemu młodszemu koledze, by drzwi zaraz zamknął, co ten natychmiast uczynił, pozostając na korytarzu. Ja nie mogłem zdobyć się na taką dyskrecyę. Zbyt byłem ciekawy dowiedzieć się, co ten człowiek, kochany przez Genowefę, opowie o swych stosunkach ze swą nieszczęśliwą żoną.

Szybko przystąpił do pożądanych wyjaśnień.

— W zeszłym miesiącu — zaczął — minęło siedm lat, gdym poznał młodą pannę, która następnie miała zostać panią Hardy...

— Przepraszam, przerwał Rollin, o jednej rzeczy chciałbym się naprzód dowiedzieć.

Zbliżył się do posłania, tak zazdrośnie strzeżonego przez Lionela i dotknął się okrycia.

— Pan pozwoli? — zapytał stanowczym tonem.

Potem ruchem śmiałym a zarazem delikatnym odkrył zmarłą, popatrzył na nią długo i dodał:

— Jak to się stało, że ta kobieta — przepraszam pana — pani Hardy zmarła tak nagle?

Hamując swe oburzenie i gniew, jaki nim owładnął na widok ajenta, zbliżającego się do śmiertelnego łoża jego żony, Lionel zdawał się pojmować, że starzec spełnia tylko swój obowiązek. Odpowiedział więc ze wzruszającą rezygnacyą:

— Powiedziałbym i o tem w swoim czasie. Umarła z zimna, jak to łatwo może pan sprawdzić. Strach, którego sama zapewne nie mogła pojąć, wypędził ją od matki Lepic, przez długie dnie i noce błąkała się po ulicach, spożywając jedynie tylko skórki zeschniętego chleba, znalezione na śmietnikach, nocując na otwartem powietrzu w halach lub podziemiach Sekwany, tak iż zmoczone jej ubranie nigdy nie mogło wyschnąć. I teraz jeszcze wydobywa się z niego wilgoć. Opuszczona, bezdomna, dotarła wreszcie tutaj do tego pokoiku, w którym już raz znalazła schronienie przed burzą.

Po krótkotrwałej przerwie mówił dalej szybko:

— Gdym tu przybył, był przy niej doktór. Niech pan go poszuka, a on potwierdzi me słowa. Wszyscy jednak lekarze byliby bezsilni wobec jej wycieńczenia. Wymogłem, by pozostawiono mnie z nią samego, oddała ducha swego w mych rękach. Czy pragnie pan dowiedzieć się, dlaczego, tracąc ją, wydaje mi się, że wszystko utraciłem?

— Słuchamy pana, odpowiedział Rollin, nakrywając delikatnie kołdrą twarz umarłej.

Głos Lionela Hardy'ego stał się jeszcze poważniejszym.

— Kochałem ją! Byliśmy oboje bardzo młodzi, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali. Jej oczy, żarzące się żywością, jej usta drobne i szydercze, nie były wówczas skażone temi głębokiemi zmarszczkami, które cierpienie i nędza wyryły na niej. Chociaż bywają kobiety piękniejsze, nigdy u żadnej nie znalazłem tego niewypowiedzianego czaru. W oczach moich miała urok, którym mnie zaraz owładnęła. Trudno wytłómaczyć mi to wszystko panu. To tylko mogę powiedzieć, iż żyć zacząłem dopiero od dnia, w którym ją ujrzałem i żyć przestaję, gdy ona teraz umarła.

Poślubiłem ją, mimo wstrętu, z jakim rodzina moja patrzyła na ten związek. Tego ptaka, zrodzonego do bujania w powietrzu i w blaskach słońca, uwięziłem w zatęchłej atmosferze mieszczańskiego domu. Za tę cenę otrzymałem od niej nienaruszalną przysięgę. Nigdy, pod żadnym pretekstem, nawet gdybym umarł przed nią, przyrzekła nie powracać na deski sceniczne. Biedne dziecko! dotrzymała swej przysięgi. Dotrzymała jej mimo głodu, dotrzymała nawet wtedy, gdy nie mogła zaspakajać swego nieszczęsnego nałogu do morfiny, którą łatwo mogła zdobyć za kilka treli swego niezrównanego głosu. Pomyliłem się jednak co do jej charakteru. Miała temperament artystki, żądnej oklasków i swobody. Nikt nigdy, żaden człowiek nie mógł wypełnić jej serca tak, jak ona wypełniała moje. Ojciec mój nie mógł zrozumieć usposobienia Anity. Gdy zastawał ją, jak przegląda się w wielkich lustrach salonu, lub gdy dolatywało go echo tego głosu, którego tragiczne akcenty wzruszały mnie aż do łez, okazywał widocznie swe niezadowolenie i tak jawnie dawał je poznać, iż biedne dziecko, by wypłakać się, uciekało do swego pokoju, gdzie znajdowała zapomnienie przed swym żalem w morfinie. Nabrała tego nieszczęsnego nałogu przed mojem poznaniem, o fakcie tym nie wiedziałem jednak wówczas. Gdy odkryłem to straszne niebezpieczeństwo grożące memu szczęściu, poświęciłem cały swój czas, wszystkie siły, całą energię na wyleczenie jej z tego złowrogiego przyzwyczajenia. Wysiłki me miały tylko względne powodzenie. Nie pojmowała szkody, jaką sobie czyniła, śmiała się z mych namaszczonych przepowiedni, jak nazywała me przestrogi i namowy. Oszukując mą czujność, co raz większą stawała się niewolnicą tego narkotyku, w nabywaniu którego nie mogłem jej przeszkodzić. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko dołożyć starań, by tej jej wady nie zauważyła moja rodzina.

Tymczasem ojciec mój żądał stanowczo, by Anita wypełniała swe obowiązki pani domu. Dumny z ogólnego poważania, jakiem cieszyła się nasza rodzina i bojąc się plotek z powodu mego nieszczęsnego, jak uważał, małżeństwa, starał się wszędzie pokazywać ze swą synową. Przez całą zimę ciągnął się jeden nieprzerwany łańcuch obiadów, balów i przyjęć, nie mówiąc już o wyścigach i operze. Taktyka ta w pewnej mierze przyniosła dodatnie skutki, liczne bowiem i urozmaicone zabawy i rozrywki oddalały upadek Anity. Wszystko jednak mija na tym świecie. Powab nowości ustąpił wkrótce miejsca zniechęceniu i nudom. Wtedy zło posunęło się naprzód z zastraszającą szybkością, zwłaszcza iż od dłuższego już czasu tlało pod popiołem. Pewnego dnia Anita zjawiła się przy stole w takim stanie, w jakim jej nikt oprócz mnie dotychczas nie widział. Na obiedzie mieliśmy gości. Od tego dnia ojciec ani razu już na nią nie spojrzał. Żona zaś większą część dnia spędzała zamknięta w swym pokoju, nie dopuszczając do siebie nikogo, ani mnie, ani nawet małej Klary, będącej jeszcze na rękach u mamki.

Wreszcie nastąpiła nieunikniona katastrofa. Nadszedł dzień, w którym mnie żona opuściła. Lakonicznym bilecikiem, zostawionym na stole w naszym małym saloniku na drugiem piętrze pałacu, oznajmiła mi, że starała się przyzwyczaić do życia mieszczańskiego, lecz nie mogła tego dokonać, że dusiła się poprostu z braku powietrza i swobody. Prosiła mnie przytem, bym jej nie poszukiwał, gdyż nigdy nie zgodzi się na powrót. Ja lękałem się tylko niebezpieczeństw i niedostatku, na jaki się naraża zdala ode mnie. Nie wyjawiając nikomu nieszczęścia, jakie mnie dotknęło, wyjechałem ostentacyjnie z pałacu, by odbyć z żoną podróż na Południe, dokąd ona naprzód niby się udała, a w istocie, by szukać po całym Paryżu Anity. Dopiero po dziesięciu dniach udało mi się ją znaleść w pokojach umeblowanych, utrzymywanych przez porządnych ludzi. Środki jej pieniężne były już na wyczerpaniu, a zastałem ją pogrążoną w śnie letargicznym, świadczącym o nadużyciu morfiny. Wielu ludzi utraciłoby przy takim widoku swą miłość, przestaliby poprostu walczyć. Nie jestem jednak z rzędu takich. Siedząc przy posłaniu żony w oczekiwaniu na jej obudzenie się, przyrzekłem sobie z sercem, złamanem boleścią, że jej nigdy nie opuszczę, że zdwoję swe wysiłki, by uchronić ją od losu, który ją nieunikniony oczekuje.

Nie wiedziałem, co począć. Gdy wreszcie Anita ocknęła się, okazała mi wdzięczność za me przybycie. Zgodziła się chętnie powrócić do swego dziecka. W dwa miesiące potem znowu uciekła, lecz tym razem nie znalazłem jej tak łatwo. Gdy wreszcie udało mi się to, upadła już tak nisko moralnie i fizycznie, iż nie mogłem marzyć nawet o sprowadzeniu jej do domu. Oddałem ją do domu zdrowia, powierzając zawodowej dyskrecyi lekarza i jego pielęgniarek, w nadziei, iż nikt się nie dowie o istocie choroby, ani o nieszczęsnej namiętności, jaka ją doprowadziła do tak smutnego stanu.

Muszę panom powiedzieć, iż do tej pory nikt nie domyślał się w domu powodu naszych niespodzianych nieobecności. Ojciec, jak i wszyscy inni, wierzyli w podróż. Nie wiem, jak to się stało, lecz po tygodniu pobytu Anity w domu zdrowia, spostrzegłem z zwracanych na mnie spojrzeń mych znajomych, iż popełniono niedyskrecyę, iż tajemnica ma stała się ogólną. Byłem więc niejako uprzedzony o tem, co mnie oczekiwało, gdy pewnego ranka ojciec poprosił mnie do swego gabinetu. Gdy tylko wszedłem, domyśliłem się, iż ojciec wie już o wszystkiem i że z tego wyniknie wielkie nieporozumienie. Teraz mogłem żałować, żem korzystał tylko z majątku swego ojca i nie zdobyłem sobie stanowiska, które dałoby mi zupełną niezależność. Mógłbym wtedy oświadczyć mu, że postanowiłem pod żadnym pozorem nie rozłączać się ze swą żoną. Nigdy nie byłem ulubionym synem, podobna jednak decyzya, otwarcie wyjawiona, zjednałaby mi zapewne jego poważanie, tymczasem zmuszony byłem dyplomatyzować, powstrzymywać żal, jaki sprawiała mi niesprawiedliwość i gwałtowność jego słów.

— Muszę wreszcie — mówił mi — dowiedzieć się wszystkiego o hańbie, jaką ta kobieta sprowadziła na nasze nazwisko. Oto moje ostatnie słowo: niech wyjdzie stąd, dom ten jest za mały, by pomieścił was dwoje. Ty będziesz zawsze mile widzianym i możesz liczyć na mą kieszeń, by podołać wydatkom, jakie pociągnie za sobą nowy twój rodzaj życia. Nie chcę cię przymuszać do niczego, co byłoby przeciwne twemu sumieniu. Ponieważ nie chcesz słyszeć o separacyi, najlepiej uczynisz, gdy wyjedziesz za granicę, a w każdym razie opuścisz Paryż.

Chętnie usłuchałbym tej rady, stan jednak zdrowia Anity wymagał specyalnych ostrożności. Postanowione było, iż pozostanie jeszcze przez tydzień w domu zdrowia, nie opuszczając swego pokoju, ja zaś ten czas spędzę w Bourboule. Stamtąd mieliśmy wyjechać razem na Południe.

Kuryer, którym miała wyjechać, zatrzymuje się dopiero w Lyonie, lecz stąd łatwo zawrócić do Bourboule. Pragnąc jak najprędzej ją zobaczyć, udałem się na spotkanie do Saint-Germain i w ten sposób znalazłem się na dworcu podczas wypadku, grożącego śmiercią mej żonie. Byłem świadkiem oderwania się dwóch wagonów pociągu, który winien

był przejechać na drugi tor, by dać wolny przejazd kuryerowi. Odrazu pojąłem całe niebezpieczeństwo. Patrząc na bezskuteczne wysiłki konduktora i smarownika, dochodziłem poprostu do rozpaczy. Jedna tylko myśl mnie przejmowała. Należało za wszelką cenę i przytem w kilku chwilach oczyścić linię, jeżeli nie mam stać się bezczynnym świadkiem śmierci mej ukochanej żony. Wskoczyłem na stopień jednego z wagonów, które mnie mijały i udało mi się pomódz konduktorowi w złączeniu pociągu. Reszta jest panom znana: Kuryer wpadł na pociąg osobowy, zanim zdołano go przeprowadzić na inną linię, nastąpił wybuch kotła w parowozię, powstał pożar wagonów, zmieniając nie do poznania nieszczęśliwe ofiary wypadku.

Pozorne podobieństwo postaci i ubrania, fakt, że żona winna znajdować się w kuryerze, bagaże jej w wagonie towarowym, tłomaczą moje przerażenie. Sądziłem razem z innymi, że Anita została zabita. Oszalały z bólu sprowadziłem zwłoki jej do Paryża. Przez długi czas opłakiwałem ją jako zmarłą... Lecz oto, co się stało. Wyjazd przestraszył Anitę. Po raz trzeci postanowiła mnie porzucić. Po przybyciu na dworzec w towarzystwie starego Mateusza poleciła mu wysłać bagaże i kupić bilet, poczem siadła do swego przedziału i odprawiła służącego. Zaledwie jednak on odszedł, wyszła z wagonu, minęła bufet, siadła przed podjazdem do dorożki i udała się do jednej ze swych dawnych znajomych. O tem wszystkiem dowiedziałem się znacznie później.

Ojciec mój, który doznał prawdziwej ulgi wobec takiego rozwiązania całej sprawy, wszystko czynił, by ulżyć memu bólowi. Klara stanowiła między nami nowy węzeł. Zacząłem już zwolna przyzwyczajać się do swego losu, gdy pewnego dnia wyjechałem w interesie za rogatkę na przedmieście. Odbywał się tam jakiś jarmark, ponieważ jednak nie było jeszcze drugiej godziny po południu, większość baraków była zamknięta. Strzelnice, menażerye, panoptika stały pustkami, a przytem i samych przechodniów na ulicach było mało. Nagle ujrzałem dość liczną grupę ludzi, stojących koło jakiejś kobiety, nędznie ubranej, tańczącej przy dźwiękach harmonii. W ruchach jej i całej postaci malował się jakiś wdzięk, który zwrócił mą uwagę. Odwrócona była do mnie plecyma, lecz jakież ogarnęło mnie wzruszenie, gdym dojrzał jej twarz. Stanąłem jak wryty na miejscu, mimo iż tłoczący się ludzie popychali mnie na wszystkie strony. Przedemną była Anita! Jej twarz, jej uśmiech! A pod tymi łachmanami, w jakich nigdy w najgorszych nawet przeczuciach nie spodziewałem się widzieć tej, która nosiła moje nazwisko, było ciało Anity.

Czyż to możliwe? Czyż natura stworzyłaby dwie tak do siebie podobne kobiety? Te same oczy i włosy, ten sam wyraz i postać? Taniec skończył się. Podczas gdy dokoła mnie wybuchła cała burza oklasków i braw, oczy me spotkały się z oczyma tancerki. Przeczytałem w nich nagły przestrach, który mi wyjawił całą prawdę. Kobieta ta, tańcząca dla przyjemności przechodniów, była w istocie Anitą, była moją żoną. A potem tańczyła jeszcze w dalszym ciągu, lecz w jakiś nerwowy sposób, drżąc na całem ciele.

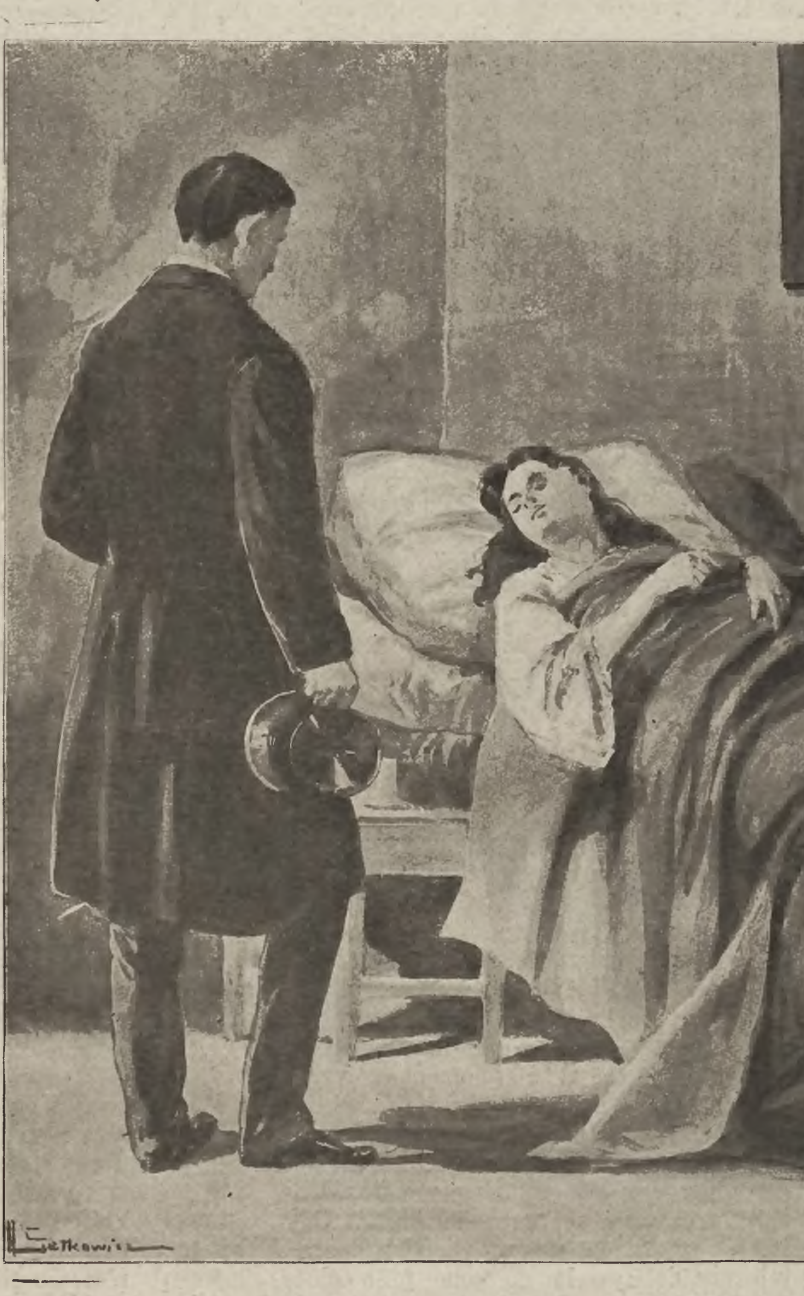
Trzymałem na niej wzrok, dopóki tłum, rozchodząc się pomału, nie pozwolił mi zbliżyć się do niej. Wtedy pociągnąłem ją za sobą do pierwszej napotkanej bramy. Zacząłem badać ją i gdym się wreszcie wszystkiego dowiedział, zapytałem jej, czy chce iść ze mną, być ubraną i nakarmioną. Wstrząsnęła się cała.

— Nie mogę — zawołała, a potem dodała, opuszczając głowę — upadłam zbyt nisko!

Bogu tylko wiadomo, co się działo wtedy ze mną. Cierpiałem jej cierpieniem i o tyle większem, iż widziałem ją, gdy nie przypuszczała, że tam jestem, jak śmieje się wesoło. Poczułem, jak w głębi mego serca budzi się ta namiętna miłość, jaką dawniej miałem dla niej. Spytałem się jeszcze możliwie najspokojniej, czy już zupełnie przestała mnie kochać. Obrzuciła mnie bystrem spojrzeniem, w którem dostrzegłem jakiś blask przelotny, gdy mi odpowiadała:

— Nie... Tylko — pośpieszyła dodać — nie mogę żyć w tych wielkich domach na oczach ludzi, którzy ganią wszystko, co uczynię lub powiem.

Zaprowadziłem ją do hotelu na bulwarze Magenta. Kupiłem jej ubranie i kazałem podać obiad, który jadła, płacząc i śmiejąc się zarazem. Potem powiedziałem jej, jak zamierzam postąpić. Wynajmę dla niej w okolicach Asnieres małą willę, gdzie nie będzie potrzebowała obawiać się surowych oczu. Za towarzyszkę dam jej kobietę, posiadającą moje zaufanie i która będzie dla niej dobrą. Znajdzie tam fortepian, książki, kwiaty, jednem słowem będzie miała wszystko, czego tylko zapragnie. Później, jeżeli zechce, przywiozę jej córkę, by ją uścisnęła. Czy zdawało jej się, że może zadowolić się podobnem życiem? Czyż nie lepsze to było od zimnych i błotnistych ulic, od tańców na otwartem powietrzu? Odpowiedziała mi całym potokiem słów, wyrażających jej żywą wdzięczność. W chwili tej była bez wątpienia zupełnie szczerą. Niestety! Po kilku miesiącach pobytu w tem spokojnem ustroniu uciekła znowu.



Twarz zmarłej była odkryta.

Mimo wszelkich wysiłków, dużo czasu upłynęło, zanim ją znowu zobaczyłem. Tym razem było to w podmiejskiej oberży. Nie tańczyła, lecz przyglądała się tylko piruetom niezgrabnej tancerki, która napróżno starała się zasłużyć na oklaski nielicznych gości. Przy mojem wejściu w oczach jej zamigotał zwykły wyraz przestrachu, zmieszany jednak z pewnem uczuciem za mą wierność i poświęcenie bez granic. Nie zgodziła się, by iść zaraz ze mną, lecz przyrzekła powrócić nazajutrz do willi w Asnieres, o ile dam jej trochę pieniędzy. Dotrzymała słowa, chociaż jej pobyt był bardzo krótki. Wkrótce przyzwyczaiła się szukać na kilka dni schronienia w willi i zabezpieczenia przed niedostatkiem, koniecznem następstwem ucieczek, które stały się dla niej synonimami wolności. Zacna, pełna dobroci kobieta, która dozorowała willi, była zawsze gotową na przyjęcie uciekinierki.

Ileż to razy otwierała ona w nocy drzwi biednemu stworzeniu w podartej odzieży i z rozwianemi włosami, które zastawałem rano po przybyciu, uwiadomiony depeszą, otoczone kwiatami, z włosami starannie uczesanemi i w ciepłej sukni. Zdarzało mi się nawet nieraz widzieć ją na kolanach przed Anitą, obuwającą jej biedne, zmarznięte stopy w ciepłe pantofle, któremi to dziecko cieszyło się dotąd, dopóki dla jakiegoś niespodziewanego kaprysu nie zrzuciło ich, by tańczyć boso po pokoju. Roślina jednak nie przyjęła się. Anita mimo wszelkiej czujności zaczęła nam znowu uciekać. Przez cały ostatni rok raz tylko tam się zjawiła. Tem większe miałem wrażenie, że przez ten cały czas bardziej mnie pragnęła, niż w latach poprzednich, lecz przytem jaśniej sobie zdawała sprawę ze swego upadku.

Od dwóch już lat była w stosunkach z temi szlachetnemi kobietami, które kierują schroniskami dla podobnych jej nieszczęśliwych. Słyszała od nich słowa, które wywarły dobre wrażenie na jej umyśle. Jak tylko dowiedziałem się o tym szczególe, zaraz pośpieszyłem ofiarować swe usługi stowarzyszeniu, pod którego nadzorem pozostają te schroniska. Miałem nadzieję, że w ten sposób łatwiej się z nią spotkam, lecz w istocie nigdy mi się to nie udało. Byłem już blisko tego, mówiono mi, że przed chwilą wyszła, lecz gdy wybiegłem za nią, napróżno jej szukałem. Możnaby powiedzieć, że jakiś instynkt tajemny przestrzegał ją o mym przyjściu.

W zachowaniu jej dopatrywałem się wstrętu do siebie; teraz sądzę, że był to tylko wstyd. Gdy poczuła zbliżającą się śmierć, kazała wezwać mnie. Na widok litości w mych oczach, wyciągnęła ku mnie swe wychudłe ręce, potem z westchnieniem dziecka, usypiającego na łonie matki, oparła swą zbiedzoną twarzyczkę na mej piersi i rzekła: „przebacz!" Gdym podniósł jej głowę, była martwa. Składając ją na tem posłaniu, spostrzegłem, iż w zaciśniętej ręce trzyma ten przedmiot, zawieszony na mosiężnym łańcuszku na szyi.

Pokazał nam ten przedmiot.

— Jest to ślubna obrączka — szepnął. — Nigdy z nią się nie rozłączała, a jednak nieraz musiała ją ogarniać pokusa, by sprzedać w krytycznej chwili tę ostatnią kosztowniejszą rzecz.

Zamilkł, schował do kieszeni obrączkę i dodał tych kilka słów:

— Gdy żyła, obecność moja jej ciężyła; starała się tylko uwolnić ode mnie. Gdy jednak poczuła zbliżający się koniec, wyciągnęła ku mnie ręce na znak wdzięczności za niezachwianą miłość, jaką dla niej żywiłem...

Zwolna głos jego przybrał ton uroczysty:

— Zapragnęła — rzekł, kończąc — widzieć mnie przy sobie w chwili śmierci, uśmiechnęła się...

Przerwał i pogrążył się w głęboką zadumę. Nie było to miłem zadaniem przypomnienie mu smutnej rzeczywistości. Rollin nie miał jednak wyboru.

Lionel tymczasem odezwał się znowu:

— Dla uczczenia jej pamięci muszę urządzić pogrzeb, godny nazwiska, jakie nosiła. Zamierzam przewieźć ją do pałacu, by pochód stamtąd ruszył, by wszyscy wiedzieli, kogo chowam.

Stary agent z pewnem wahaniem przystąpił do spełnienia swego obowiązku.

— Przykro mi bardzo — rzekł — lecz muszę panu oznajmić o przeszkodzie, nie dopuszczającej do spełnienia tego zupełnie słusznego żądania. Żałuję niezmiernie, że nałożono na mnie ten ciężki obowiązek, lecz jestem tutaj nietylko, by pilnować pana. Mam w kieszeni rozkaz aresztowania pana, podpisany przez sędziego śledczego. Jest pan oskarżony o otrucie swego ojca.

Wolałbym, by mi oszczędzono tej przykrej sceny. Stary agent przyrzekł mi niejako, że aresztowanie odbędzie się nie przy mnie. Zapewne zapomniał o swej obietnicy, słuchając tego wzruszającego opowiadania, a może zapomniał nawet i o mej tam obecności. Lionel Hardy, który w każdej innej chwili byłby bardzo dotknięty, widząc, iż podejrzenia, ciążące do tej pory na jego braciach, zwrócono na niego, był wówczas w tak silnem podnieceniu, iż to nowe upokorzenie nie wywarło na niego wielkiego wrażenia.

— Sądziłem — rzekł — iż ta długa i bolesna historya, którą panowie słyszeli, uwolni mnie od tego. Czy mogę zapytać, na jakich mniemanych dowodach panowie się opierają? Może będę mógł wyjaśnić ich właściwe znaczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Echa zamachu trucicielskiego.

(Do illustracyi na str. 4).

Tajemniczy zamach trucicielski na oficerów sztabu generalnego, zakończony śmiercią kapitana Madera, nie przestał zajmować opinii publicznej, mimo upływu paru tygodni, bo nie przestał być tajemniczym, chociaż aresztowano porucznika Hofrichtera, obwinionego o popełnienie tego zamachu.



Nauczycielka miłości: Aktorka paryska *madame* Granier.

Śledztwo, jakie przeprowadziła wiedeńska policya, oraz władze wojskowe, nagromadziło w prawdzie kilka bardzo poważnych poszlak, świadczących na niekorzyść aresztowanego oficera, brak jednak w tych poszlakach najważniejszych łączników, brak ostatecznego dowodu.

Między osobami, których nazwiska wymieniano łącznie ze sprawą zamachu, jest pewna śpiewaczka tinglowa, Anna Myrtley, której podobiznę, nadesłaną nam ze Lwowa, dziś zamieszczamy. Anna Myrtley występowała w teatrzykach rozmaitości w wielu miastach, znają ją więc bywalcy przybytków lekkiej i podkasanej muzy we Lwowie i w Krakowie.

Będąc w Wiedniu, poznała się bliżej ze ś. p. kapitanem Maderem. Ten nawiązał z nią nawet bliższy stosunek. Dowiedziano się o tem powszechnie w dniu jego śmierci, gdyż zgon zaskoczył go właśnie w chwili, gdy pisał list do swej kochanki.

Władze przesłuchały nawet Annę Myrtley w przypuszczeniu, że ona będzie mogła dać pewne wskazówki w tajemniczej sprawie, zeznania jej jednak nie przyczyniły się w niczem do wyjaśnienia tragedyi.

Śmierć popularnego polityka włoskiego.

Przed kilku dniami zmarł w Rzymie jeden z najwybitniejszych polityków włoskich, Aleksander Fortis. Nazwisko Fortisa jest jednem z najpopularniejszych nazwisk we Włoszech. Był to człowiek, który działalność swą rozpoczął u boku weteranów wolnościowego ruchu włoskiego, u boku Garibaldiego i Mazziniego. Wybitne zdolności, niezwykła swada uczyniły zeń parlamentarzystę pierwszej klasy, a mowy jego, tak jako posła, jak i jako premiera gabinetu włoskiego, którą to godność osiągnął w r. 1896, nigdy nie przebrzmiały bez echa i były pełne znaczenia politycznego.

Gdy przed rokiem w parlamencie włoskim przyszło do dyskusyi nad polityką zagraniczną Austro-Węgier z okazyi aneksyi Bośni i Hercegowiny, Fortis wygłosił mowę, którą w Austryi przyjęto jako oznakę nowego, antyaustryackiego kursu polityki zagranicznej Włoch. Była to ostatnia mowa polityczna Fortisa.

Śmierć jego wywołała w całych Włoszech powszechny smutek, a wśród kolegów i przyjaciół ś. p. Fortisa szczery żal, gdyż razem z nim schodzi do grobu jeden z ostatnich wybitnych weteranów epoki garibaldowskiej.

Nowa placówka na kresach.

W ostatnich dniach listopada otwarto uroczyście polską szkołę ludową w Małych Kończycach na Śląsku Cieszyńskim. Szkołę tę założyła „Macierz szkolna Ks. Cieszyńskiego", aby ocalić przed wynarodowieniem setki dziatwy polskiej, która dotąd pozbawiona była nauki języka ojczystego.

Jak potrzebną była ta szkoła, dowodzi najlepiej okoliczność, że zgłosiło się do pierwszej klasy około 90 dzieci, a do ochronki, która ma przy szkole powstać, 45 dzieci. To też za stworzenie tej nowej a tak ważnej placówki oświaty narodowej należy się Macierzy śląskiej gorące uznanie.

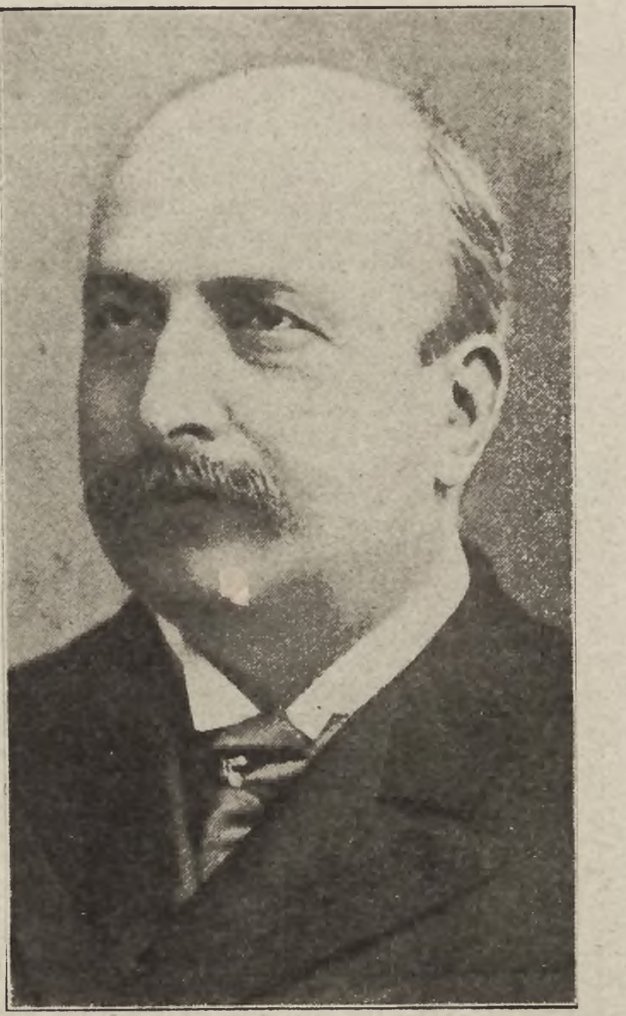
W uroczystości otwarcia szkoły wzięli udział przedstawiciele „Macierzy", dalej ludność polska z sąsiednich gmin, z Witkowic, Morawskiej i Polskiej Ostrawy oraz ludność miejscowa, przeważnie robotnicy fabryczni.

Po otwarciu szkoły odbył się w miejscowej gospodzie koncert ludowy oraz przedstawienie amatorskie teatru z Witkowic.

Nowy parlament turecki.

(Do illustracyi na str. 2).

Gmach parlamentu tureckiego należy do najwspanialszych budynków Konstantynopola. Zbudowany przez głośnego architekta armeńskiego Serkiza Baliana, słusznie nosi nazwę pałacu „Tceragan". Włożono weń nietylko miliony, ale i pracę genialnych artystów, którzy w r. 1874, gdy pałac



Śmierć popularnego polityka włoskiego: Aleksander Fortis, deputowany włoski.

ten dla ówczesnego pierwszego parlamentu tureckiego stawiano, uważali ten gmach niejako za symbol nowej ery w Turcyi.

Pośród lasu minaretów, wystrzelających wspaniale ku lazurom nieba, stał ten gmach długo owiany pustką, a u stóp jego rozlane morze szeptało mu, że wrócą dni jego tryumfu i zwycięstwa.

Dziś ten biały pałac marmurowy stał się kuźnią nowego życia w odrodzonej Turcyi, a nowy sułtan Mahomet V., gorący zwolennik konstytucyonalizmu, wchodzi w progi tego pałacu nie jako despota, ale jako jego najwyższy strażnik.



Nowa placówka na kresach: Dziatwa, zapisana do polskiej szkoły w Małych Kończycach.

Kronika tygodniowa.

(Św. Mikołaj i jego podarki. — Ruch turystyczny, a Wysoki Rząd. — Podrożenie biletów kolejowych. — Sprawa panoramy Styki a krakowska Rada miejska. — Epidemia trucicielska w Europie. — Hofrichter, Hamburg i Verdun. — O wojskowej procedurze karnej. — Król Manuel w pogoni za żoną. — Pani Granier. — Niewdzięczny Wiluś. — Przepowiednia Flammariona o końcu świata).

Z takiem utęsknieniem przez małych i wielkich oczekiwany święty Mikołaj zawitał na nasz padół płaczu i powrócił już w wyższe regiony, co mu obecnie, wobec rozwoju aeronautyki, przychodzi daleko łatwiej, niż za lat poprzednich. Pozostawił też mnóstwo nader cennych podarunków dla każdego z śmiertelników, które już po największej części dostały się w ręce obdarzonych, dwa tylko nie zostały dotąd zrealizowane, lecz są w projekcie.

Pierwszy z nich, to podarunek Rady kolejowej, obradującej właśnie w Wiedniu, a obchodzący całe nasze społeczeństwo, godzi bowiem utrąceniem ruchu turystycznego w stronę Zakopanego. Rada kolejowa zastanawiała się nad projektem rządowym, w sprawie ożywienia ruchu turystycznego na liniach kolejowych galicyjskich, dowiedziała się jednak z ust przedstawiciela rządu, że obecnie wszystkie zniżki i ułatwienia na przestrzeni Chabówka-Zakopane, zostają stanowczo zniesione. Równocześnie wchodzi także w życie podwyższenie taryf osobowych na wszystkich liniach kolejowych, stosunkowo najwyższe w klasie III, którą jeździ największy ludzi za płatnymi biletami. Rząd na wszystkie lamenty ma jedną stereotypową odpowiedź, która brzmi: względy natury finansowej nie pozwalają na żadne ustępstwa. Gdy na całym świecie starają się rządy o ułatwienie podróżowania i w tym celu zniżają ceny jazdy, wychodząc z założenia, że masowa frekwencya, nawet po niższej cenie, jest korzystniejszą dla budżetu kolejowego, Austrya czyni wprost przeciwnie, śrubując ceny jazdy do niemożliwości. Słusznie zupełnie zauważył ktoś, że pierwszą klasą jeździ się w Austryi przeważnie za wolnymi biletami jazdy, czyli tak zwanemi w kolejowym volapücku „freikartami“, w drugiej używają podróżni zniżek, tylko szczęśliwcy, podróżujący klasą trzecią, opłacają pełną cenę jazdy. Ich też najbardziej dotyka ów Mikołajkowy prezent, który jest jednym dowodem więcej, że rząd sprzyja krajowi nietylko słowami, ale i czynem.

Drugi prezent, to Rondel, który połączone sekcye krakowskiej Rady miejskiej postanowiły darować Stykom na pomieszczenie panoramy Grunwaldu. Walka w tej sprawie rozgrywa się w całym Krakowie. Mieszkańcy podwawelskiego grodu podzielili się na dwa obozy, zwalczające się słowem pisanem i drukowanem na całej linii. Mamy więc panoramistów rondlowych i antipanoramistów. Jedni i drudzy wytaczają przeciw sobie działa najcięższego kalibru i używają najbardziej przekonywających dowodów, z których jednak śmieją się w kułak przeciwnicy. I tak twierdzą archeologowie i konserwatorowie, że pomieszczenie panoramy w barbakanie jest profanacyą tego budynku, natomiast zwolennicy jej powiadają, że skoro Rondel stanowił do niedawna skład piasku, węgli i różnych przyrządów, używanych do czyszczenia miasta, wcale mu nie zaszkodzi, jeśli tam Styka wpakuje swą panoramę, zwłaszcza że się zobowiązał, iż mury na tem nic nie ucierpią. W tym samym duchu oświadczyła się i komisya Rady miejskiej, uchwalając większością głosów przedstawienie pełnej Radzie wniosku dla Styków przychylnego. Na drugą część projektu twórców panoramy nie chce się natomiast Rada zgodzić. Żądają oni, by gmina zajęła się także sfinansowaniem przedsiębiorstwa, to jest, by wyznaczyła z swych funduszów odpowiednią subwencyę na pokrycie kosztów, coś około stotrzydzieści tysięcy koron wynoszących. Wyłożone pieniądze wrócą się miastu przez sprzedaż biletów wstępu, obliczonych na jedną koronę od osoby. Mojem zdaniem pozwolenie na umieszczenie panoramy w Rondlu, pod wyżej wyszczególnionymi warunkami, to jest, iż mury nie zostaną uszkodzone, nie sprofanuje wcale barbakanu i Rada powinna się na to zgodzić, natomiast sfinansowaniem projektu powinni się zająć sami przedsiębiorcy. Zasadą przewodnią powinno być także, by cena biletów wstępu była możliwie najniższą, w ten bowiem tylko sposób uprzystępni się najszerszym sferom jej zwiedzenie.

O innych, drobniejszych podarunkach dla społeczeństwa nie wspominam, gdyż obecnie cały świat zajmuje epidemia trucicielska, rozszerzająca się gwałtownie po całym świecie. Początek wyszedł tym razem z Austryi. Domniemany sprawca, porucznik Hofrichter, stanowi obecnie przedmiot ogólnego zainteresowania, w miarę bowiem postępów śledztwa, coraz bardziej utrwala się przekonanie, że władze bezpieczeństwa popełniły pomyłkę, nie można bowiem dowieść mu stanowczo, że to on obdarowal swych kolegów tak skutecznem lekarstwem. Przesłuchania obwinionego, jego żony i otoczenia nie doprowadziły do żadnego rezultatu, także i rewizye domowe nie wykryły tak przekonujących dowodów, aby na ich podstawie można twierdzić stanowczo: on, a nie kto inny! Że pudełka znaleziono u niego i atrament chemiczny, to jest wprawdzie okoliczność obciążająca, ale jeszcze nie niezbity dowód, pudełka bowiem mogły rzeczywiście służyć na chowanie nici i guzików, a atrament, choćby do znaczenia bielizny. Chyba, że najnowsze *corpus delicti*, które wykryto w domu rzekomego zbrodniarza w postaci deski do prasowania, wyświetli może ostatecznie sprawę.

Jak tam losy pokierują sprawą, obecnie nie można przewidzieć, najlepiej na tem gotowa wyjść przecież procedura karna wojskowa, o której reformę, z okazyi procesu Hofrichtera, zaczęli się upominać posłowie. A jest to zabytek nielada starożytny, pochodzi bowiem z połowy wieku ośmnastego, kiedy to jeszcze pławiono czarownice, a potem dla wysuszenia palono je na stosie. Kto wie, czy wiedeńscy archeologowie i konserwatorowie, jeśli ożywia ich ten sam duch, co naszych, zgodzą się na to, by taki antyk miał pójść tak wcześnie do aktów, nie doczekawszy się nawet pięćsetletniego jubileuszu istnienia!

Po Austryi przyszła kolej na Niemcy i Francyę. W Hamburgu nasypano jakiejś trucizny do ryżu, przeznaczonego dla Bogu ducha winnych waryatów, sprawcy jednak także nie ujęto, być może, że jest to tylko figiel zarządu szpitalnego, który z obawy, by koszta leczenia nie obciążyły zanadto budżetu krajowego, chciał w ten sposób zmniejszyć stan chorych. Także żartem miał być zamach w koszarach huzarów francuskich w Verdun, gdzie jakiś krotochwilny wachmistrz nasypał, w celu poprawienia smaku menaży, sinku potasu do zupy, przeznaczonej dla jego szwadronu. Sprawca przyznał się do czynu, sprawiedliwość nie potrzebuje więc wysilać się na jego wykrycie.

Nie robiąc sobie nic z tych trucicielskich zamachów, wybrał się młody król portugalski Manuel w podróż po Europie, w celu wyszukania sobie dozgonnej towarzyszki życia. Odwiedził najpierw najbliższego sąsiada, króla Alfonsa, ten jednak nie posiada dlań odpowiedniej partyi, jako młody żonkoś, siostrzeńców zaś hiszpańskie słyną z urody *(sit venia verbo!)* i są przeważnie poważnego wieku, choć sam wiem z doświadczenia, że taka leciwa żona, najodpowiedniejszą jest dla niedoświadczonego młodziana, zwłaszcza że, jak powiadają znawcy, Hiszpanki są nader ognistego usposobienia, a tę zaletę zachowują nawet i w późniejszym wieku. Zato król Edward, do którego młody kandydat do stanu małżeńskiego udał się następnie, posiada należyty wybór kuzynek i bardzo chętnie odstępuje je koronowanym głowom z kontynentu!

Dziwi mnie tylko, że młody władca Portugalii nie odwiedził cesarza Wilhelma, gdyż jeśli gdzie, to w Berlinie mógłby pod każdym względem bardzo wiele skorzystać. Kto wie, czy nie byłby trafił właśnie na wizytę pani Granier, która mogłaby za jąć się pierwszymi krokami Manuelcia na drodze wiodącej ku jarzmu małżeńskiemu. Debiut tej pani wobec cesarza Wilhelma był tak udatny, iż gazety nie mogą się dość naopowiadać, jakie to ona udatne i przekonywujące prelekcye o miłości wygłosiła wobec cesarza. Sprawa tak stała się aktualną, iż prasa zajmowała się nią daleko żywiej, niż np. niemiecką mową tronową, która naogół wypadła dość słabo. Okazało się przytem, że Hohenzollernowie są niewdzięczni, nie uczyniono bowiem nawet wzmianki o byłym kanclerzu Bülowie, który przecież dobrze się zasłużył wobec swej ojczyzny, a głównie wobec swego władcy i pana, dla którego nie tak jeszcze dawno wyjmował własnoręcznie gorące kasztany z rozpalonego pieca.

Ale niech mi kto powie, co to wszystko znaczy wobec przepowiedni Flammariona, że w dniu 18 maja, więc w czasie, kiedy u nas najpiękniejsza panuje wiosenna aura, naszej staruszce ziemi grozi poważne niebezpieczeństwo od ogona komety Halleya. Jest to gość na ziemi bardzo rzadki, a porusza się w przestworzach z taką chyżością, że niczem wobec niej jest szybkość krakowskiego tramwaju, lub urzędowego kawałka, odbywającego przepisaną drogę między rozmaitemi dykasteryami. Kometa owa jest obecnie oddaloną od ziemi o drobnostkę stoczterdzieści milionów mil, w maju zaś znajdzie się w tej pozycyi, że głowa jej zwróci się w stronę słońca, ogon zaś, rozciągający się na coś około 30 milionów mil, przejedzie przez ziemię. Kto spaceruje po plantacyach i wdycha w siebie kurz, jaki sprawiają stosunkowo przecież krótkie ogony czyli treny sukien damskich, ten może sobie wyobrazić, jak będzie przyjemnie, gdy taki potężny ogon owinie dokoła ziemię. Astronomowie przypuszczają, że gdy tlen, zawarty w naszej atmosferze, połączy się z wodorem ogona komety, mieszkańcy ziemi muszą się wydusić, może jednak nastąpić i takie połączenie gazów, że ludzie wpaść mogą w szał dzikiej radości i w nim zginąć. Z tego powodu należy pochwalić Wydział krajowy, iż pragnie przyspieszyć budowę szpitala waryatów w Kobierzynie, gdyż w razie tej ewentualności dotychczasowe zakłady nie będą mogły pomieścić wszystkich z radości zwaryowanych. Pocieszajmy się jednak myślą, że przecież i astronomowie mylą się czasem, a zresztą i sam Flammarion nie upiera się przy swych twierdzeniach, ale powiada zupełnie skromnie: czy i w maju na przyszły rok ziemia wyjdzie szczęśliwie z opałów, jak to było w r. 1819 i 1861 — Bóg to raczy wiedzieć!

W każdym razie nie jest to wcale perspektywa przyjemna, że z chwilą wygaśnięcia prawa propinacyi ma nastąpić koniec świata! Chyba, że jest to jeden z jego zwiastunów, gdyż jak Pismo święte powiada, będą wówczas widzialne na lądzie, morzu i w powietrzu rzeczy nadzwyczajne. A właśnie za jedną z takich ziemskich nadzwyczajności mogą być snadnie uważane: zniesienie propinacyi, ciągłe podwyższanie podatków i choćby sprawa panoramy rondlowej, w powietrzu mamy już balony, a na wodzie dreadnoughty! Niech więc każdy ma się na baczności i tak ureguluje swe stosunki, by koniec świata nie zastał go nieprzygotowanym. Ja już zaczynam porządkować swe sprawy i pierwsza rzecz, przestaję płacić długi, o czem niniejszem mych kochanych wierzycieli miłościwie zawiadamiam. *X.*

Przesilenie gabinetowe we Włoszech.

(Do illustracyi na str. 4).

Za przykładem zaprzyjaźnionej, przynajmniej oficyalnie przez trójprzymierze, Austryi, poszły i Włochy i „nabawiły się“ także przesilenia gabinetowego. Widocznie jestto choroba zaraźliwa.

Przesilenie gabinetowe we Włoszech spowodowane zostało opozycyą większości posłów przeciw projektowi reformy finansowej, opracowanemu pod patronatem prezydenta gabinetu, Giovanniego Giolittiego. Projekt ten zdążał do zniżenia podatków, obowiązujących sfery uboższe, a podwyższenia tych, które opłacają ludzie zamożniejsi. Demokratyczna reforma nie znalazła uznania w izbie poselskiej, a ofiarą opozycyi padł przedewszystkiem prezydent Giolitti, a wraz z nim cały gabinet, który solidaryzując się z swym szefem, podał się do dymisyi. Przedłożył ją również minister spraw zagranicznych Tittoni.

Następcą Giolittego ma zostać poseł Sonnino.

Wystawa aeronautyczna w Warszawie.

Miarą zainteresowania się najszerszych kół w całym świecie sprawami aeronautyki, w szczególności aeroplanami, miarą dalej współudziału Polaków w światowym turnieju o zdobycie powietrza, jest wystawa aeronautyczna, urządzona w Warszawie przez artystę-malarza Czesława Tańskiego, wytrwałego i od wielu lat w dziedzinie lotnictwa pracującego sportowca.

Wystawa jego prac, mieszcząca się w gmachu Stow. techników, daje najlepszy obraz wyników wieloletniej, mozolnej jego pracy. Modele Tańskiego czynią wrażenie wspaniałych motyli i odznaczają się wytwornością kształtów. A jest tych modelów kilka. Prócz aeroplanów wystawił p. Tański aparat do pionowego wznoszenia się, dalej liczne zdjęcia fotograficzne swych prac i swych wzlotów próbnych, wreszcie piękny zbiór motyli.

Sport zimowy w Zakopanem.

(Do illustracyi na str. 3).

Zakopane, ta królewska ozdoba naszych Tatr, z biegiem czasu staje się poważnem centrum sportu zimowego. Do niedawnego czasu znane jedynie jako stacya klimatyczna i lecznicza, opustoszałe zimą, zaczyna przeobrażać się w siedzibę sportów zimowych, pulsować nowem życiem, gromadzić liczne zastępy zapalonych sportsmanów, którzy znajdują tu naprawdę nie tylko wytchnienie ale i miłą i zdrową rozrywkę. Naturalne warunki, samo położenie Zakopanego, uczyniło zeń stolicę sportów zimowych, ale nie można odmówić zasługi tym, którzy byli pionierami tego ruchu, którzy pierwsi zrozumieli doniosłość tego ruchu dla rozwoju tak naszego sportu zimowego jak jego siedziby.

Pierwszymi, którzy przed 3 laty zainaugurowali sezon sportowy w Zakopanem, byli pp. Maryusz Zaruski, znany taternik, zamieszkały stale w Zakopanem i por. Kazimierz Bobkowski, instruktor wojskowych oddziałów narciarskich w Wiener Neustadt. Wówczas to z inicyatywy p. Maryusza Zaruskiego zorganizowano w Zakopanem pierwszy kurs jazdy na nartach, którego kierownictwo objął porucznik Bobkowski. Od tego czasu rok rocznie w czasie świąt Bożego Narodzenia zjeżdża do Zakopanego porucznik Bobkowski, by fachowemi wskazówkami służyć licznie zjeżdżającym się na ten kurs narciarzom z całej Polski.

Powstały w międzyczasie w Zakopanem oddział narciarzy przy Tow. Tatrzańskiem organizuje liczne wycieczki w Tatry, które dawniej dostępne były jedynie w sezonie letnim, a obecnie są miejscem interesujących wycieczek, pociągających nie tylko turystów z całej Polski ale i z całego świata. Dzięki oddziałowi narciarskiemu oddaje zarząd Tow. Tatrzańskiego do dyspozycyi narciarzy w ciągu zimy swoje schroniska w Tatrach, które, należycie zaopatrzone przed zimnem, umożliwiają urządzanie nawet parudniowych wycieczek.

Odbyte w dniu 30 listopada b. r. wybory do zarządu oddziału narciarskiego Tow. Tatrzańskiego dały następujący rezultat: prezesem ponownie obrano zasłużonego koło rozwoju Zakopanego taternika p. Maryusza Zaruskiego, wiceprezesem p. Barabasza, sekretarzem p. Kaleńskiego. Ponadto do Zarządu weszli pp. Wł. Skoczylas i J. Skotnica, profesorowie drzewnej szkoły zawodowej w Zakopanem.

Prócz sportu narciarskiego kwitnie i rozwija się w Zakopanem i sport saneczkowy. Miejsc do zjazdów na saneczkach w Zakopanem nie brak, ale dla zjazdów większych, dających pewną emocyę, urządzono stały tor na Gubałówce.

Sezon zimowy w Zakopanem już się rozpoczął, a piękna pogoda i doskonały śnieg niewątpliwie będą zachętą dla licznych sportsmanów do urządzania wycieczek do Zakopanego.

Sodoma i Gomora w gminie żydowskiej warszawskiej.

Goność prezesa wydziału wsparć w gminie żydowskiej warszawskiej, piastował do niedawna znany w szerokich kołach finansiery warszawskiej, były kupiec i przemysłowiec oraz finansista, cieszący się wśród współwyznawców głębokim szacunkiem, Jakób Löwenberg. Mężczyzna w sędziwym już wieku, bo liczący około 80 lat, wycofał się zupełnie z „interesów“, a wyłącznie poświęcił się dobroczynności. Znany ze swej zamożności i dobroczynności, wybierany był przez warszawskich współwyznawców na różne godności. W ostatnich czasach zaczęły o Löwenbergu, właśnie jako o prezesie wydziału wsparć, krążyć dziwne jakieś i tajemnicze wieści...



Wystawa aeronautyczna w Warszawie: Modele artysty-malarza Czesława Tańskiego (X).

Pisma opozycyjne zaczęły badać sprawę i jak się okazało, rozgrzebały całe bagno, czy gnojówkę, której twórcą i jedynym, ale za to gorliwym opiekunem był właśnie ów Löwenberg.

Oto ustalono ni mniej ni więcej, tylko że ów Löwenberg nędzę i niedolę współbraci wyzyskiwał dla zaspokojenia swoich jak najbardziej zwyrodniałych chuci... chuci 80 letniego starca... Stwierdzono przy pomocy całego szeregu świadków-kobiet, które czarna nędza i niebezpieczeństwo śmierci głodowej pchały do wydziału wsparć przy gminie, że zwyrodniały starzec prośbą i groźbą oraz przekupstwem zmuszał petentki do niecnych praktyk, a wyjątkowo oporne wpisywał na indeks i w miarę swej wszechpotęgi bojkotował i gnębił... Gdy czasem brakło „interesantek“ wydziału wsparć, Löwenberg za pośrednictwem umyślnych agentów zwabiał do swego „gabinetu“ przy wydziale ładne i młode, a ubogie żydówki i tam ich nerwami i wstydem podniecał swe żądze...

Co więcej ustalono, również za pośrednictwem ofiar zwyrodniałego satyra, że uległe Löwenbergowi zaopatrywał w czeki na kasę wydziału na różne kwoty, które odbierały one jako wsparcie; oporne zaś — pomimo ich opłakanego położenia — odsyłał z kwitkiem... Tak więc orgie swe wyprawiał na koszt wydziału i gminy...

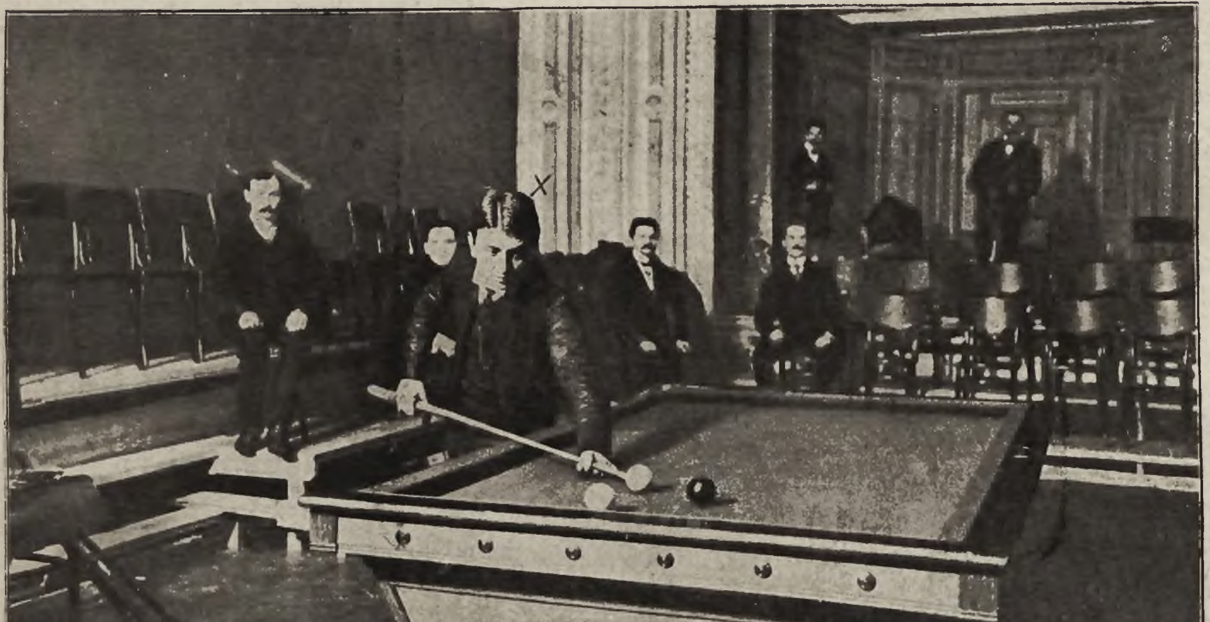
Kiedy wieści te w formie zupełnie konkretnej doszły do wiadomości zarządu gminy, zwołano zebranie nadzwyczajne i Löwenberga z zarządu usunięto. Echo tych zajść odbiło się na szpaltach prasy żydowskiej oraz w sądzie.

Konkurs bilardowy w Warszawie.

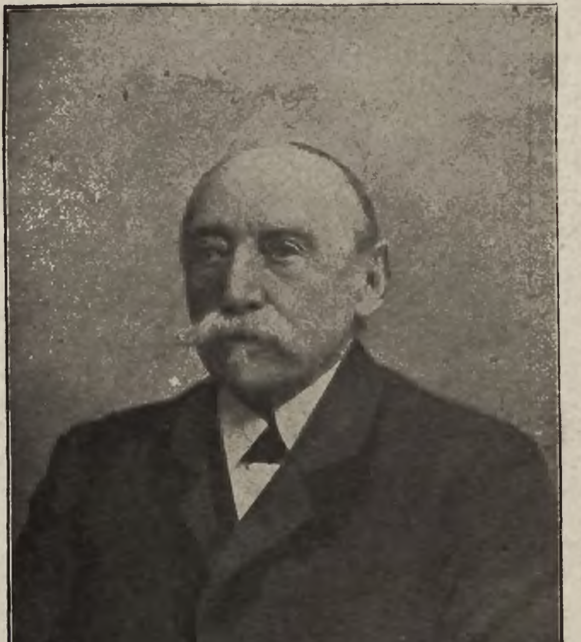
W ubiegłym tygodniu rozpoczął się w warszawskiej resursie rzemieślniczej, mieszczącej się w pałacu hr. Kossakowskich, konkurs bilardowy, w którym bierze między innymi udział mistrz światowy, Jean Bruno.

Bruno jest znanym bilardzistą, którego gra wprawiała już niejednokrotnie w podziw amatorów gry bilardowej w Krakowie i we Lwowie, dokąd zjeżdżał na gościnne występy i produkował się w większych kawiarniach.

Konkurs w Warszawie potrwa kilkanaście dni.



Konkurs bilardowy w Warszawie: Mistrz światowy Jean Bruno (X) przy bilardzie.



Sodoma i Gomora w gminie żydowskiej warszawskiej: Jakób Löwenberg.

Wzorowa piekarnia w Krakowie.

W dziedzinie przemysłu krajowego można stwierdzić nowy postęp, który zaznaczył się powstaniem przedsiębiorstwa na wielką zakreślonego miarę i mającego wypełnić lukę, jaka dotychczas panowała w naszem mieście w zakresie przemysłu piekarskiego. Przedsiębiorstwem tem jest wzorowa piekarnia maszynowa „Sport“ p. Bolesława Broszkiewicza, znanego zaszczytnie przemysłowca.

Braki w przemyśle piekarskim tem bardziej dawały się odczuć, iż zagraniczne przedsiębiorstwa tego rodzaju postąpiły w ostatnich latach ogromnie naprzód i takie n. p. pieczywo karlsbadzkie zdobyło sobie światową sławę, jako nietylko smaczne bardzo ale przedewszystkiem zdrowe, hygieniczne. Piekarnie karlsbadzkie uchodzą też obecnie jako wzór w technice piekarskiej.

Jakżeż inaczej a jak niekorzystnie wyglądał dotąd przemysł piekarski galicyjski a w szczególności krakowski w porównaniu z zagranicą. Czystość i hygiena była dziedziną zupełnie tam obcą, to też pieczywo nie odznaczało się ani smakiem dobrym, ani nie zalecało się wyglądem. A wobec wzrostu miasta, wobec rozwoju jego, widocznego na wielu polach, potrzeba dobrej, postępowej piekarni występowała coraz gwałtowniej.

Zasługę też wielką ma p. Bolesław Broszkiewicz, iż uprzedzając przedsiębiorców zagranicznych, przystąpił do założenia w Krakowie wzorowej piekarni maszynowej, odpowiadającej wszelkim współczesnym wymaganiom i dorównywającej w zupełności wzorom karlsbadzkim.

Nazwisko p. Broszkiewicza nie jest w Krakowie obce. Wykształciwszy się fachowo w pierwszorzędnych zakładach piekarskich za granicą, osiadł naprzód w Warszawie, a następnie w Podgórzu, gdzie wkrótce zdobył uznanie dla swego towaru: zdobył je i w Krakowie, który zaopatrywał także wyrobami swymi. Nagrody, medale i dyplomy honorowe, zdobyte na wielu zagranicznych wystawach, potwierdziły niejako urzędowo opinię ogólną o wartości jego pieczywa. Ale nie zdobycie medalów było celem usiłowań tego dzielnego przemysłowca. On postanowił pójść dalej i stworzyć takie przedsiębiorstwo, aby niem nietylko dorównać, ale prześcignąć zagranicę. I to mu się udało.

Bo piekarnia jego nowa, otwarta z końcem listopada b. r. przy ul. Szlak l. 43 w Krakowie, jest ostatnim wyrazem techniki piekarskiej. Mieści się ona w osobnym, umyślnie na ten cel wzniesionym budynku. Najważniejszą ubikacyę stanowi wielka hala w parterze, ze ścianami, wyłożonemi czeską porcelaną i z podłogą mozaikową, co przedewszystkiem daje rękojmię czystości. Gęsto rozsiane lampki elektryczne oświetlają jasno halę w czasie nocnej roboty. Po jednej stronie hali ustawiono maszyny do mięszania ciasta, poruszane motorami, a dalej przyrządy metalowe do przyrządzania ciast. Zastosowanie maszyn do tych robót zapewnia niezawodną czystość. Po drugiej stronie hali mieszczą się dwa wielkie piece, najnowszego systemu wiedeńskiego. A wiadomo, że dobroć, pożywność i smak pieczywa zależy nie tylko od mąki i należytego przyrządzenia ciasta, ale i od wypieczenia. Piece w piekarni p. Broszkiewicza zadanie to spełniają znakomicie, wypiekając pieczywo suchą parą o odpowiedniej temperaturze. Stąd pieczywo to ma smak delikatny, przyrumienioną kruchą skórkę, zatrzymuje wszystkie pożywne części pszennej mąki i nigdy nie może być spalone ani niedopieczone lub przydymione a zasuszone, co gdzieindziej tak często się zdarza.

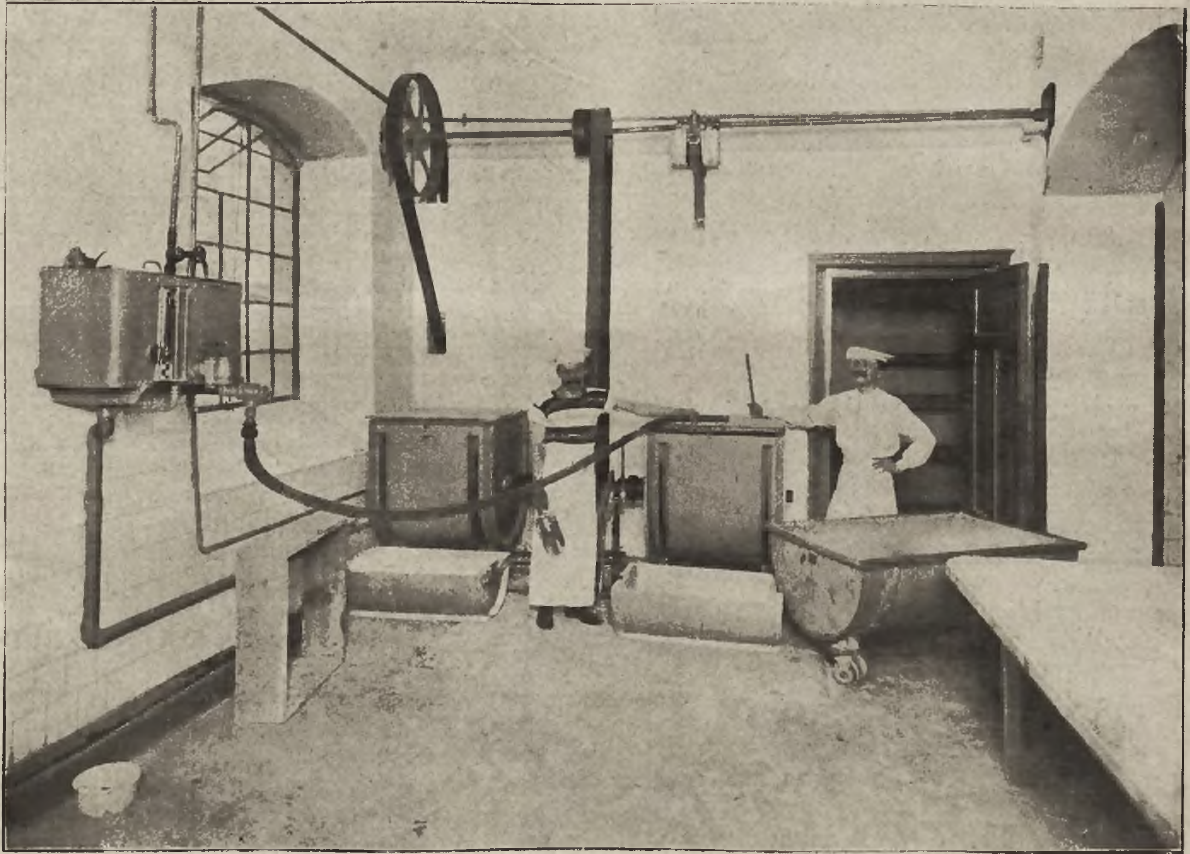
Wyjęte z pieca pieczywo przenosi się do osobnego składu, również z wzorową czystością urządzonego. Cechuje ona także chłodnię, mieszczącą się



Wzorowa piekarnia w Krakowie: Kancelarya.



Wzorowa piekarnia w Krakowie: Chłodnia.



Wzorowa piekarnia w Krakowie: Maszyny do mięszania i przyrządzania ciasta.



Wzorowa piekarnia w Krakowie: Ekspedycya.

tuż obok głównej hali. W chłodni przebywa przez czas jakiś przygotowane do pieca pieczywo. Osobną ubikacyę stanowi ekspedycya, a drewniane półki, stanowiące jej „umeblowanie“, przedstawiają się nadzwyczaj czysto.

Osobna wzmianka należy się ubikacyom, służącym na pomieszczenie robotników, co również w dotychczasowych piekarniach było słabą stroną. W nowej piekarni „Sport“ panują pod tym względem idealne stosunki. Izby wypoczynkowe robotników mieszczą się po drugiej stronie budynku. Przyszedłszy do pracy, robotnik rozbiera się, kąpie w łazience kaflowej i wdziewa następnie czyste, zastosowane do pracy ubranie i czapkę na głowę, poczem dopiero wolno mu wejść do wnętrza hali.

Nowa piekarnia p. Broszkiewicza rozpoczęła wypiekanie pieczywa przed kilkunastu dniami. Dostarcza bułki, chleb różnego gatunku, pieczywo maślane i ciasta znakomite. Rozsprzedażą ich zajmować się będzie 11 filii.

Nie można wątpić, że publiczność krakowska we własnym interesie, w interesie swojego zdrowia, zaopatrywać się będzie odtąd wyłącznie w pieczywo, wyrabiane we wzorowej piekarni p. Broszkiewicza.

Zachęta ta nawet — sądzimy — jest zbyteczna, gdyż każdy woli otrzymać pieczywo czyste, smaczne, a przedewszystkiem zdrowe za te same pieniądze, które musi zapłacić za towar znacznie gorszy.

A że dotąd pod tym względem było bardzo źle z pieczywem krakowskiem, wiedzą wszyscy doskonale. Wiedzą z doświadczenia własnego, gdy do rąk ich dostały się bułki z „nadziewką“ w postaci włosów, pluskiew, szwabów, albo też szkła potłuczonego i t. p. ingredencyi. Wiedzą też ze sprawozdań rozmaitych komisyi, które rewidowały piekarnie krakowskie i przy tej sposobności stwierdzały niesłychane wprost niechlujstwo, panujące w pracowniach piekarskich, niechlujstwo w urządzeniu, w naczyniach i u robotników.

Wszystko to w piekarni p. Broszkiewicza jest wykluczone, a pieczywo jego wyrobu jest ponad wszelką wątpliwość najzupełniej czyste i zdrowe.

To też powstanie tego rodzaju przedsiębiorstwa należy traktować jako fakt nawet społecznie donosły.

To też z tego punktu widzenia wychodząc i traktując nową piekarnię p. Broszkiewicza jako przedsiębiorstwo poważne, zaznajamiamy z niem bliżej szerokie koła naszych Czytelników i życzymy mu w interesie zdrowia publicznego jak najpiękniejszego rozwoju.

W uzupełnieniu tego artykułu, zamieszczamy dziś szereg zdjęć z nowej tej maszynowej piekarni.

Przedstawiają one wnętrze hali, a mianowicie piecie i maszyny do przyrządzania ciasta, dalej chłodnię, ekspedycyę i kancelaryę p. Broszkiewicza.



Wzorowa piekarnia w Krakowie: Piece w głównej hali.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 48.

Łamigłówka: Przesilenie gabinetowe.
Szarada: Pierogi.
Zadanie do przestawienia: Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki.
Logogryf: Żeromski Stefan.
Szarada: Pantomina.
Kwadrat magiczny: Deotyma.
Logogryf chemiczny: Roger Bacon.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: S. Lindenbaum Czerniowce, A. Balicki Kołomyja, J. Lebiedziński Kraków, W. Drożdż Tarnów, M. Aleksiewicz Lwów, M. Wojczyński Lwów, R. Brzezińska Kraków, P. Roth Kraków, M. Lasocka Rzeszów, W. Radwański Warszawa, M. Kalinowska Radom, W. Ostrowski Sandomierz, G. Żalechowski Przemyśl, J. Nowacki Tarnopol, W. Rogoziński Czerniowce, M. Górska Kraków, J. Saft Łódź, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, J. Czarkowski Kraków, B. Latoszyński Kraków, M. Trelska Lwów, K. Olpiński Lwów, M. Cholewicz Kraków, K. Lipecki Tarnów, W. Romanowski Warszawa, S. Radoszewska Rzeszów, G. Batmański Radom, S. Bryliński Głogów, M. Arzt, Petersburg, J. Siemek Lwów, K. Gans Lwów, W. Trojacki Wietrzychowice, M. Zabieszewska Kraków, K. Fuchs Czeremchów, A. Kamieńska Lwów, Józek Jednooki Warszawa, Z. de Boulange Gawłówek, B. i A. Majewski Borysław, R. Obraczaj Przemyśl, S. Lemański Kraków, F. Urban Kraków, M. Swidzińska Łódź, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, W. Lasocki Rogóźno, K. Łopatyński Stanisławów, M. Lachawiec Przemyśl, D. Engelberg Tarnów, S. Obmińska Warszawa, R. Kratochwil Cieszyn, K. Bernatowicz Rzeszów, M. Linderski Krosno, J. Kinalski Kołomyja, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki, H. Josse Ostrów, F. Schmidt Stanisławów, J. Opaliński Sandomierz, G. Świrski Radomyśl, W. Rogalski Zaleszczyki, J Wolski Krakow, S. Bielawski Kraków, S. Sokołowski Tarnopol, E. Dembiński Jasło, M. Vochnacki Koło, L. Solecki Kraków, W. Brzozowski Lisko, B. Grzesińska Kraków, I. Bukowski Lwów, A. Maciejowska Stanisławów, Z. Dębowski Łódź, G. Gliński Kalisz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Lipecki Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

14 (Ciąg dalszy).

Przez roztropność pozbył się wyglądu Anglika, który zaczął być już znany w tych stronach, a natomiast przebrał się za robotnika i podążył do Cuzion. Była to mała mieścina. Bez trudu zdołał odkryć nadawcę tego listu.

Poszczęściło mu się od samego początku.

— List rzucony na pocztę w środę... — odezwał się mer, jowialny mieszczanin, do którego zwrócił się z prośbą o informacye. — Zaraz, zdaje mi się, że będę mógł zaspokoić pana ciekawość... W sobotę rano ojciec Charel, stary szlifierz, spotkał mnie na końcu naszego miasta i zapytał: „Panie merze, czy list bez marki będzie wysłany?“ — „Dlaczegoby nie!“ — „I dojdzie na miejsce swego przeznaczenia?“ — „A jakże. Trzeba tylko zapłacić dodatkową taksę“.

— Gdzie mieszka ten ojciec Charel?

— Mieszka tam na wzgórzu, sam... w lepiance koło cmentarza... Czy chce pan, bym panu towarzyszył?

Była to odosobniona lepianka, stojąca wśród drzew. Gdy dotarli do niej, trzy sroki wyleciały z psiej budy, pies jednak ani nie szczeknął, ani nie poruszył się przy ich nadejściu.

Beautrelet, bardzo tem zdziwiony, postąpił na przód. Zwierzę leżało na boku, martwe z wyciągniętemi łapami. Szybko podbiegli do domu. Drzwi były otwarte.

Weszli do środka. W głębi izby wilgotnej i niskiej, na wiązce słomy na ziemi leżał jakiś człowiek w ubraniu.

— Ojciec Charel! — zawołał mer. — Czyżby i on był nieżywy?

Ręce szlifierza były zupełnie zimne, twarz przeraźliwej bladości, serce jednak choć słabo i powoli biło jeszcze, na ciele nie zauważyli żadnej rany. Starali się ocucić go, ponieważ jednak nie udawało się im to, Beautrelet pobiegł po lekarza. Lecz i lekarz nic nie pomógł, zresztą ojciec Charel nie wydawał się wcale cierpiącym. Możnaby powiedzieć, że śpi spokojnie, lecz snem sztucznym, jakby go uśpiono w hypnozie, lub też jakim narkotykiem.

Następnej dopiero nocy, Izydor, który pozostał przy nim dla czuwania, zauważył, że oddech jego staje się silniejszy, że cała jego istota jakby uwalniała się od jakichś niewidzialnych więzów, które go paraliżowały. Nad ranem obudził się, jadł, pił, powrócił do normalnego trybu. Przez cały jednak dzień nie mógł odpowiadać na zapytania młodego człowieka, jakby umysł jego był odrętwiały z jakiejś niewytłómaczonej przyczyny. Na drugi dzień zapytał Beautreleta:

— Co pan tu robi?

Po raz pierwszy dopiero zdziwiła go obecność obcego przy sobie. Pomału powrócił zupełnie do przytomności. Rozmawiał, wybierając się w drogę ze swym ruchomym warsztatem szlifierskim, gdy jednak Beautrelet zapytał go o wypadki, poprzedzające jego uśpienie, zdawał się nie rozumieć tego. I rzeczywiście Beautrelet czuł, że on nie rozumiał. Stracił pamięć o wszystkiem, co stało się od ostatniego piątku. Była to w jego życiu jakby urwista przepaść. Opowiedział, jak spędził ranek w piątek i popołudnie, roboty, jakich dokonał, pożywienie, spożyte w oberży... potem nic więcej. Wydawało mu się, że się obudził nazajutrz.

Było to straszne dla Beautreleta. Prawdę miał tutaj przed sobą w tych oczach, które widziały mury parku, za któremi czekał na niego jego ojciec, w tych rękach, które podniosły list, w tym umyśle przyćmionym, w którym odbił się zakątek świata, gdzie odbywa się bezustanny dramat. I z tych rąk, z tych oczu i tego umysłu nie może wydobyć najmniejszego nawet echa tej tak bliskiej sobie prawdy!

Och! Jak ten opór nieuchwytny i niedostrzegalny, o który rozbijały się wszystkie jego wysiłki, ten opór zbudowany z milczenia i zapomnienia, jak wyraźne nosił cechy Lupina. On jeden tylko po dowiedzeniu się, że ojciec Beautrelet próbował dać znak życia o sobie, mógł razić połowiczną śmiercią tego, czyje świadectwo było dla niego niedogodne. Ileż było prawdziwej inteligencyi i przezorności w tym czynie, którym unicestwiał wszelkie możliwe oskarżenie tego przechodniego szlifierza. Nikt już nie wie teraz, że w murach tego parku znajduje się więzień, który wyczekuje pomocy.

Nikt? Nie, Beautrelet! Ojciec Charel nie jest w stanie mówić? Tak! Można jednak dowiedzieć się, gdzie on był ostatnim razem i wywnioskować, jaką drogą powracał. Przy tej zaś drodze może będzie można wreszcie natrafić...

Izydor, który odwiedzał lepiankę ojca Charela tylko z wielkiemi ostrożnościami, aby nie dawać żadnego podejrzenia, obecnie postanowił już tam nie wracać. Dowiedział się zaś, że piątek jest to dzień jarmarczny we Fresselines, w większem mieście, oddalonem stąd o kilka mil, dokąd można się udać tak główną drogą, jak i krótszemi bocznemi ścieżkami. W piątek więc wyruszył do tego miasta główną drogą, nic jednak nie spostrzegł, coby zwróciło jego uwagę, żadnych murów, żadnych zabudowań jakiegokolwiek zamku. Zjadł śniadanie w oberży w Fresselines i zamierzał już powrócić, gdy dostrzegł ojca Charela, jak popycha przed sobą na taczce swój warsztat szlifierski. Zaczął postępować za nim z daleka.

Szlifierz robił częste przystanki, podczas których naostrzył całe tuziny nożów. Wreszcie skręcił na zupełnie odmienną drogę, która prowadziła ku Crozant i Eguzon. Beautrelet szedł za nim, nie upłynęło jednak i pięciu minut, gdy ujrzał, iż śledzi on go nie sam. Między nimi znajdował się jeszcze jakiś człowiek, który zatrzymywał się jednocześnie z ojcem Charelem i za nim postępował dalej, nie robiąc jednak żadnych wysiłków, by być niepostrzeżonym.

— Śledzą go — pomyślał Beautrelet — widocznie chcą przekonać się, czy zatrzyma się przed murami...

Serce biło mu silnie. Zbliżało się rozwiązanie sprawy.

Wszyscy trzej jeden za drugim doszli do Crozant. Tam ojciec Charel zatrzymał się na godzinę. Potem zwrócił się ku rzece i przeszedł przez most. Tu jednak zaszedł fakt, który zdziwił Beautreleta. Człowiek ten nie przeszedł przez rzekę. Popatrzył za szlifierzem i gdy go stracił z oczu, wszedł na boczną ścieżynę, wijącą się przez pola.

Co czynić? Beautrelet zawahał się na chwilę, potem powziął stanowcze postanowienie. Ruszył w ślad za nieznajomym.

— Stwierdził on — pomyślał — że ojciec Charel minął to miejsce obojętnie. Jest już uspokojony i odchodzi. Dokąd? Do zamku?

Zmierzał do celu. Czuł to z jakiejś bolesnej radości, która podnosiła mu pierś. Człowiek ten wstąpił do lasku, znajdującego się nad rzeką, potem ukazał się znowu na ścieżce. Gdy Beautrelet za nim wyszedł z lasu, zdziwił się bardzo, nigdzie go nie widząc. Szukał go oczyma, gdy nagle skoczył w tył, tłumiąc dobywający mu się z piersi okrzyk i schował się za linię drzew. Po prawej stronie ujrzał wysokie, potężne mury zamku.

To tutaj! To tutaj! Te mury więżą jego ojca! Znalazł wreszcie tajemne miejsce, w którem Lupin pilnuje swe ofiary. Nie śmiał już wychylać się z ukrycia, jakiem były dla niego gęste liście lasu. Powoli, czołgając się prawie, dotarł do małego wzgórza, z którego poprzez wysoki mur dojrzał tylko dach zamku, najeżony małemi, spiczastemi jak igły wieżyczkami.

Dnia tego Beautrelet nie dokonał już nic więcej. Musiał namyśleć się i przygotować swój plan działania, nie pozostawiając nic przypadkowi. Do niego teraz należało wyznaczyć czas i rodzaj walki, wypowiedzianej Lupinowi. Oddalił się.

Koło mostu spotkał dwóch wieśniaków z naczyniami pełnemi mleka. Zapytał ich:

— Jak się nazywa ten zamek, tam, poza drzewami?

— To, proszę pana, zamek Iglasty.

Zadał to pytanie, nie przywiązując do niego żadnej wagi. Odpowiedź wzruszyła go.

— Iglasty zamek... Ach!.. W jakiej stronie znajdujemy się? To jest departament Indre?

— Nie. Indre jest z drugiej strony rzeki... Tutaj mamy departament Creuse.

Izydor stanął jak olśniony. Zamek Iglasty! Igła! Departament Creuse! *Aiguille Creuse* — Igła wydrążona! Klucz do zrozumienia dokumentu. Zupełne, kompletne zwycięstwo zapewnione!

Nie dziękując nawet za wyjaśnienie, Izydor ruszył szybko naprzód w wesołych podskokach, jakby podchmielony.

VI.

HISTORYCZNA TAJEMNICA.

Beautrelet postanowił bezwłocznie działać sam. Zawiadamianie policyi byłoby zbyt niebezpieczne. Posiadając tylko przypuszczenia, bał się powolności policyi, nieuniknionych niedyskrecyi, przedwstępnego śledztwa, w czasie którego Lupin, przestrzeżony o wszystkiem, cofnie się w porządku, zacierając za sobą ślady.

Nazajutrz o ósmej rano, z tłómoczkiem swym pod pachą, opuścił oberżę, w której mieszkał w okolicy Cuzion, dotarł do pierwszego zagajnika na drodze, gdzie porzucił swój strój robotniczy, a przebrał się znowu za młodego malarza angielskiego, jakim był poprzednio i zjawił się u notaryusza w Eguzon, największem mieście w tych stronach. Opowiedział mu, że okolica podoba mu się i że jeżeli znalazłby odpowiednie mieszkanie, chętnie przebyłby tu jaki czas wraz ze swymi rodzicami.

Notaryusz wymienił mu kilka posiadłości. Beautrelet nadmienił, że wspominano mu o zamku Iglastym nad brzegiem rzeczki Creuse.

— Rzeczywiście, lecz zamek ten, należący od pięciu lat do jednego z mych klientów, nie jest do sprzedania.

— Zamieszkuje go?

— Zamieszkiwał go, a raczej jego matka. Zamek ten wydał się jej jednak zbyt smutny i wogóle nie podobał się. Jednem słowem opuścili go w zeszłym roku.

— I nikt w nim nie mieszka obecnie?

— Owszem, pewien Włoch, baron Anfredi, któremu mój klient wynajął go na lato.

— Ach! Baron Anfredi, młody jeszcze człowiek o poważnym wyrazie twarzy...

— Tego nie wiem... Mój klient sam się z nim umawiał. Nie zawierali kontraktu, lecz za zwykłym kwitem...

— Lecz pan zna barona?

— Nie, nigdy nie wychodzi z zamku... Niekiedy tylko samochodem i przeważnie, jak się zdaje, nocą. Zapasy spożywcze czyni stara kucharka, która z nikim nie rozmawia. Dziwni ludzie...

— A nie przypuszcza pan, czy pański klient zgodziłby się na sprzedanie zamku?

— Nie sądzę. Jest to historyczny zamek w najczystszym stylu Ludwika XIII. Mój klient dba o niego i jeżeli nie zmienił swego zdania...

— Może pan mi dać jego adres?

— Ludwik Valmeras, 34 ulica Mont Thabor.

Beautrelet wsiadł na najbliższej stacyi do pociągu. Nazajutrz po trzech daremnych wizytach zastał wreszcie Ludwika Valmerasa. Był to mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, o szczerej, sympatycznej twarzy. Beautrelet, uważając wszelkie wykręty za bezcelowe, dał się poznać i przedstawił wszystkie swe wysiłki i cel, do jakiego zmierza.

— Mam wszystkie dane ku temu — zakończył — by przypuszczać, że mój ojciec jest więziony w zamku Iglastym i w dodatku w towarzystwie innych ofiar. Od pana pragnę dowiedzieć się, co pan wie o swoim lokatorze, baronie Anfredi.

— Nie wiele! Spotkałem barona zeszłej zimy w Monte Carlo. Dowiedział się przypadkowo, że jestem właścicielem zamku Iglastego, a ponieważ pragnął spędzić lato we Francyi, prosił mnie o wynajęcie mu go.

— To jeszcze młody człowiek?...

— Istotnie, o energicznych oczach i blond włosach.

— Z brodą?

— Tak, rozczesaną na obie połowy i opadającą na kołnierzyk, zapinany z tyłu, jaki noszą osoby duchowne. Wogóle on ma w sobie coś z księdza anglikańskiego.

— To on — szepnął Beautrelet — to on, takim jakim go widziałem, to jego dokładne określenie.

— Jakto!... Pan sądzi?...

— Nie sądzę, lecz jestem pewny, że pański lokator jest nie kim innym, lecz tylko Arseniuszem Lupinem.

Sprawa ta zainteresowała Ludwika Valmerasa. Znał wszystkie awantury Lupina i przygody jego walki z Beautreletem. Zatarł wesoło ręce.

— Zamek Iglasty stanie się teraz sławnym... na co nie będę się żalił, gdyż w gruncie rzeczy, odkąd matka moja opuściła go, ciągle myślę o pozbyciu się go przy pierwszej nadarzonej sposobności. Obecnie łatwiej będę mógł znaleść kupca na niego. Tylko...

— Tylko?

— Poproszę pana o działanie z największą ostrożnością i o zawiadomienie policyi dopiero po zupełnem przekonaniu się. A gdyby mój lokator nie był Arseniuszem Lupinem?

Beautrelet wyłożył swój plan. Pójdzie sam, nocą przedostanie się przez mury i ukryje się w parku...

Ludwik Valmeras przerwał mu zaraz:

— Nie tak łatwo przedostanie się pan przez mur tej wysokości. A jeżeli uda się to panu, zostanie pan tam przyjęty przez dwa potężne buldogi, które należą do mojej matki i które pozostawiłem w zamku.

— Eh! Gałka z trutką...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyło Grono nauczycielskie w Żarkach.

Tu wytrzymać niepodobna,
Taki *pierwszy* z pieca bucha,
A ta cała gawiedź drobna
Siedzi, jakoby bez ducha,
Te *część pierwszej drugie* sparte!...
Okno musi być otwarte.

Całość w *Nowościach* spotkacie,
Gdzie zagadki umieszczacie;
Jest to nazwa miejscowości,
Co w tem miejscu chętnie gości.

Arytmograf.

Ułożył M. Kościński, Żarki.

W miejsce liczb wstawić litery, by powstały cztery wyrazy o podanem niżej znaczeniu.

			c		d		
			5		10		
			2		11		
a	1	2	3	4	2	5	6
			8		5		
b	2	3	4	2	7	5	2
			9		2		
			2		12		

Znaczenie wyrazów: a) Odmienny sposób przedstawiania danej rzeczy. b) Postać mitologiczna. c) Imię żeńskie. d) Ohydny wypadek.

Łamigłówka zgłoskowa.

Ułożyła K. Bartnikówna, Żarki.

Z danych zgłosek:
a, an, bu, da, kord, lo, lu, ła, ni, nów, o, ol, pa, sta, tel, ze, zy, ułożyć sześć wyrazów, których początkowe a następnie końcowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwę znanej instytucyi oświatowej.

Znaczenie wyrazów: 1) Rodzaj cyny. 2) Gatunek wołu. 3) Krótki miecz. 4) Bohater jednego z utworów Szekspira. 5) Miejscowość w powiecie bocheńskim. 6) Prowincya hiszpańska.

Logogryf geograficzny.

Ułożyła M. Pirowska, Żarki.

Znaleźć odpowiednie wyrazy, by ich litery środkowe, czytane z góry na dół, dały nazwę jednej z dolin galicyjskich.

— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
□
— — □ — —
— — □ — —
— □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Skały osadowe. 2. Gorący wiatr. 3. Miasto we Francyi. 4. Spółgłoska. 5. Zatoka morza Czerwonego. 6. Forteca francuska. 7. Jeden z dwunastu znaków Zodyaku.

Łamigłówka literacka.

Ułożyła W. Bartnikówna, Żarki.

Wymienić po jednem dziele następujących autorów:

Maupassant
Wyspiański
Morus
Verne
Kaczkowski
Jokaj
Zapolska
Sudermann

Początkowe litery tytułów dzieł, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko greckiego historyka.

Zgłoskówka.

Ułożył Putyra, Kraków.

Z wyrazów:
Dywilina, złoto, Rodziewiczówna, Julian, czapla, bakalie, drogomistrz, woreczek, wyjąć po jednej zgłosce i utworzyć z nich znane polskie przysłowie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła A. Zimmerówna, Żarki.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Akte, Coligny, Katon, soda, płaz, zwał.

Logogryf.

Ułożył E. Jezierski, Kraków.

W miejsce znaków pytania i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy, których początkowe głoski, czytane z góry na dół, dadzą rzecz, z którą każdy Czytelnik często spotyka się w *Nowościach.*

? — — — —
? — — — —
? — — — —
? — — — —
? — — — —
? — — — —
? — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Materyał łatwo zapalny. 2. Zwierzę z rodzaju gryzoniów. 3. Inaczej kochanek. 4. Imię męskie. 5. Miejsce popisu. 6. Złoty pieniądz. 7. Materya jedwabna.

Zagadka.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Jestem Hebrajczykiem, prorokiem się mienię
Wprost czy wspak odczytany, wcale się nie zmienię.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Pierwsza z drugą, smakuje bardzo, jeśli młoda,
Choć nie powiem, by samą ludzie zajadali.
Druga z pierwszą od tamtej stanowczo się różni,
Gdy jej niema w gospodzie, klną żyda podróżni,
A jeśli nocka jasna i piękna pogoda
Trzepnąwszy kilka „mocnych“, żwawo idą dalei.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Nowaczyńskiego:* **Figliki Szowizdrzalskie.**